BRONISŁAWA JEREMI.

HENRYK hr. LIS

ŻAŁOSNA IDYLLA

WÓW 1921. — SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“.

»Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem«.
Nie-Boska komedja. Krasiński.

„A ty młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł. I poniosły cię one dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne, wiją się struny harfy i piersi westchnienia!“

Noc letnia. Krasiński.

— Nie cierpię teatru — powiedział krótko. — Nie cierpię. Rzuć go i zostań ze mną. Jestem uczciwym człowiekiem i co raz obiecuję tego dotrzymam. Widzę twą duszę kryształową, twe dobre, złote serce i żal mi cię, szamocesz się w tem życiu teatralnem boleśnie, nie możesz nawyknąć do trudów i intryg kulis, tam trzeba mieć inne siły, inne wychowanie i inne nerwy. Nie jestem, narazie, bogaty ale ci dać mogę przyzwoite utrzymanie i będę wdzięczny, że zechcesz to przyjąć.

Ona spuściła główkę i słucha.

— Jestem żonaty, ale nie żyję z żoną i tak już musi pozostać. Rozwód, cała ta procedura sądowa jest mi wstrętna, więc żyjemy każde z osobna. Jeżeli więc zgodzisz się na to co ci ofiarować mogę, będę ci do końca życia wdzięcznym i nie opuszczę cię już nigdy.

Jej coś w piersiach łkać zaczyna przeogromnem szczęściem, bo ona kocha tego człowieka, kocha od pierwszego spojrzenia.

On dalej mówi:

— Nie zatęsknisz za teatrem?

— Nie, nie. — Odpowiada zdławionym ze wzruszenia głosem.

— A może niechcesz? — uśmiecha się radośnie, bo Henryk hrabia Lis doskonale wie, że Ira go kocha. Ten lew salonów zna serca i dusze kobiece dobrze.

Wyciąga ku niej ręce radosnym gestem.

Ona do piersi mu się tuli.

— Kocham! — bije serce rytmem wielkiego szczęścia.

— Kocham! — mówią oczy mgłą łez zasnute.

— Kocham! — szepcą wargi drżące rozkosznie.

Bo są kobiety, które bez miłości żyć nie mogą, a do tych należy i Ira.

Są kobiety, które do całości istnienia potrzebują pieszczoty i pocałunku, inaczej mrą z tęsknoty i niepokoju miłosnego.

Są kobiety jak kwiaty, ich cała piękność rozwija się dopiero w promieniach miłosnego słońca, w cudownej atmosferze kochania.

Bo czemże właściwie jest kobieta jeżeli nie miłością samą i pragnieniem?

. . . .

Uderzył wielki dzwon nieszczęścia.

Wojna!

Jeden krótki dobitny wyraz:

Wojna!

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny...“ modlą się ludzie.

. . . .

— Już ja cię nie opuszczę aż do śmierci. — Mówi do Iry hrabia Lis. — Już ja cię nie opuszczę. Testament zrobiłem, złożony u adwokata, a tu klejnoty. Jeżeli umrę zrobisz z niemi co zechcesz, wrócę da Bóg, sam ci je na szyi zawieszę.

A Ira płacze.

Co jej klejnoty, jej skarb największy on, sam Henryk hr. Lis.

— A jeżeli umrę, ty przyjacielu — mówi do Romana Drzewizy, — opiekuj się nią szczerze, warta tego. Przyrzeknij, chcę żeby jej nikt nigdy krzywdy nie wyrządził i żeby jej na niczem nigdy nie brakowało.

A Ira płacze.

Bo życie z nim jest pieśnią, bajką o szczęściu, całem szczęściem.

— Przysięgam ci iż cię nie opuszczę aż do śmierci!

Wyciągnął rękę ku obrazowi Madonny, który wisiał na ścianie, dany Irze przez niego, wyciągnął rękę jakby go biorąc na świadectwo.

— I nie opuszczę cię do śmierci! — powtórzył.

— A teraz jedna prośba, nie płacz. Chcę na odjezdnem widzieć twe oczy uśmiechnięte jak zawsze.

Więc całą siłą zagryzła wargi aż do krwi prawie, fizycznym bolem tłumiąc ból moralny i uśmiechnęła się ku niemu.

— A nie zapomnisz Henryk, nie zapomnisz?

— Nigdy, nigdy, wszak dałaś mi szczęście. Jeżeli żyć będę wrócę do ciebie, a jeżeli kula mię dosięgnie...

— Ja także umrę — mówi Ira.

— Jeżeli wrócę, da Bóg, obrączkę ci na rączkę włożę i dokończymy tego życia cicho, spokojnie, dwoje staruszków — dodał żartobliwie

Rzuciła mu się na szyję, serdeczny splot ogarnął oboje i w pocałunku zapomnieli na chwilę o troskach, wojnie i Drzewizie, który stał z boku wzruszony bardzo, bo mimo pozory obojętności serce miał wrażliwe bardzo.

— Pani Iro, żaden uczciwy mężczyzna nie korzysta z wojny aby zerwać z kobietą — powiedział przekonywająco.

— A widzisz, widzisz i Drzewiza tak mówi, a Drzewiza mądry człowiek.

Więc kobieta ku Drzewizy w przyjacielskim geście ręce wyciągnęła i ściskać poczęła mu dłonie serdecznie, długo dziękując za dobre chęci podtrzymania w niej otuchy i wiary, w tę ciężką rozłączenia godzinę.

Gdy odjechał krzyżem przed obrazem Madonny runęła.

— Ratuj Najświętsza, nie opuszczaj!

A potem oczekiwanie różowych kartek Feldpostu, i przeogromna tęsknota.

I zapewnienia słowa:
— Kocham i tęsknię i myślę o tobie ciągle.

* * *

A ta ostatnia wiosna przed wojną, jakże cudowną była.

Henryk miał mnóstwo do załatwienia i w Brzeżanach i w Rohatynie. Po śmierci matki nagromadziło się tyle interesów, więc co tydzień prawie, bo Irę zabierał ze sobą, woził ich automobil białemi drogami w wiosenny świat. Jak strzała mknęli, sypały się na nich wonne płatki okwiecia drzew owocowych, kiście bzów wonie im swoje słały, a liljowe kielichy dzwonków i smółek przydrożnych chyliły się w pokłonach.

Bo tak jak człowiek zakochany odczuwa piękno natury, tak wiosenna natura odczuwa kochanie i wszystkie swe ponęty daje człowiekowi.

Aż wreszcie jeden dzień cudny, niezapomniany nigdy.

— Jedziemy do Podzamcza.

Zamek starej hrabiny Lis, matki Henryka.

Z szesnastego wieku jeszcze budowla, tylko baszt już niema, skruszył je czas, czy ludzie jako niepotrzebne rozebrali, dziś dobrze niewiadomo. Jak ptasie gniazdo usłany na górze, wśród przecudownej zieleni parku. Gdzie niegdzie puchy białej tarniny jak śnieżne stożki wyglądają.

Przeogromnej grubości mury a chłód od nich idzie daleko.

A Irze ze wzruszenia serce bije tak mocno, że przycisnęła dłonią pierś by nie wyskoczyło.

Wstępuje po schodach, bo mieszkalne pokoje na pierwszem piętrze. Patyna starości powlokła ściany. Meble wielkie, poważne, ciężkie, lustrzane tafle drzwi i kominki przedziwnej struktury, na których ciągle ogień płonie.

— Patrz, tu moja matka zawsze siadywała — mówi jej Henryk. — Tu przy tem biurku pracowała, a to jej fotel ulubiony.

W złotym salonie cudowne empiry, przedziwne brązy, a nad kominkiem baranie głowy z czarnego marmuru.

— Dawna epoka — mówi Ira — a jakie to wszystko piękne, jakie zamiłowanie estetyki u ludzi, którzy w czasie tym żyli.

— A tutaj moja matka konno jeździła.

— Jakto w sali? — dziwi się Ira.

— Tak, jeździła sławnie na koniu, więc gdy deszcz padał, lub nie chciało się jej do parku wyjeżdżać, wprowadzano klacz po wschodach, zostały nawet ślady podków na kamieniach.

— Dawniejsze panie miały fantazję — myśli Ira — dziś niema już tego humoru, a może dzisiejsi ludzie nie potrafią tak bujnie żyć jak dawniej.

— Ten sztych Madonny ulubiony był matki, dla ciebie Iruś go przeznaczam.

— Dziękuję drogi!

— Jaki on dobry, delikatny — myśli — właśnie że mi to daje, co lubiła jego matka.

— Ten obraz zawiśnie nad mojem łóżkiem.

— A to są korespondencje prywatne mej matki, wiem że Iruś potrafi to uporządkować.

Jaka ona była szczęśliwa wtedy, Boże, jaka szczęśliwa!

Oprowadzał ją po wszystkich pokojach, po wszystkich zakamarkach i opowiadał dzieje, wspomnienia lat dziecinnych, przeżyte wrażenia. Ona słuchała jak bajki czarownej, pełna zachwytu i dumy.

Bo stara hrabina była niepowszednią kobietą. Wielka dama zeszłej epoki, niegdyś cudownie piękna, na jednym z dworów europejskich miała zaszczyt poznać księcia Walji, późniejszego króla Anglji i ten olśniony urodą pięknej Polki chciał ją jako morganatyczną małżonkę pojąć, ale dumna hrabianka polska nie chciała. Odrzuciła propozycję następcy tronu.

I królowała u siebie w zamku.

Coś w niej było potrochu szalonego. Bawiła się, jeździła za granicę, ale zawsze do starego gniazda z zamiłowaniem wracała. Gdy przeszła młodość, ślady urody w cudownych rysach pozostały i jakaś szalona duma pańska i niezależność. Często, włożywszy kożuszek na koszulę tylko, wysokie buty, w małej czapeczce szła w pole lub konno zwiedzała folwarki, wtedy wszystko przed nią drżało, winnym nie było zmiłowania.

Henryk ją kochał bardzo i Irze różne szczegóły opowiadał.

— Patrz, to jest Matka Boska z szarego piaskowca wykuta. Rzeźbił ją hrabia Z. dla mojej matki, największy amator rzeźbiarz. To jest miniatura barona G. który zginął podczas powstania i z pola walki konający już, przysłał ją wraz z chustką krwią zbroczoną, w hołdzie jej jako najpiękniejszej kobiecie świata.

— Patrz, a to jej portret.

Z obrazu patrzyła głowa kobieca niepokalanie piękna dumna o cudnym biuście, na którym bezcennej wartości trzy sznury pereł się zwieszały.

— To sławne klejnoty matki zawsze je nosiła, nawet w chorobie nie zdejmowała nigdy.

Nagle wziął Irę za rękę.

— Wiesz, że ty masz taką samą rękę jak moja matka, zupełnie taka sama. Przypatrz się na portrecie, ja to niejednokrotnie myślałem.

Ira wyciągnęła rękę ku obrazowi z ciekawym gestem porównania, a on, hrabia Lis dłoń tę chwycił, przytulił do twarzy i zaczął głaskać.

— Łapusia moja kochana, łapusia, ja tak kocham te łapusie, bo to moje wszystko!

A ona tuląc się do niego myślała w duszy:

— Boże, tyle szczęścia, tyle szczęścia!

Później poszli do parku. Stara altanka przysiadła do ziemi, pochylona ze starości jak grzyb, omszała pleśnią i porostami, ale z niej widok cudowny na małe miasteczko

Podzamcze; potem ku lamusowi co wiecznie zamknięty świecił jamami okien i był siedliskiem puszczyków, sów i nietoperzy. Przy nim jakieś złomy kamienne pogruchotane z resztkami herbów, na pół wrosłe w ziemię, okryte mchami, milczące legendy świetnej przeszłości, królewskość dziejów ojczystych.

A dalej park zarosły, gęsty, dziki, przy zamku dzikiemi bzami przeplatany i owocowemi krzewami pigwy kwitnącej.

A jeszcze dalej na zboczu stajnie czyste, widne jak pałacyki, no i konie przepyszne.

Z zamku widok cudowny.

Daleko, daleko oko sięga spojrzeniem. Na dole rozsiadło się miasteczko, dalej maleńkie wioski, las czernieje na horyzoncie, to pokrajane barwnemi płatkami zbóż pola, runią zieloną obrosłe białe węże dróg i Boża Męka na stoku góry.

Takie to wszystko cudne, takie swojskie.

— I jak tu nie kochać tej ziemi? pyta Ira.

Hrabia Lis spojrzał na nią ciekawie.

— Mię zawsze zastanawia, że ty artystka, wychowanka pseudo-kłamstwa sztuki, tak kochasz naturę.

— Przedewszystkiem zapominasz, że jestem także dzieckiem wsi i mam także tradycje rodzinne i na dnie mej duszy tkwi zawsze ideał: ziemia. Z niej powstałam i na niej wyrosłam, o, nie w zamku i aksamitnym pałacu ale w szlacheckim dworze, dużym, widnym, starym mocno przysiadłym do ziemi. Widzisz, ja kocham bardzo ziemię rodzinną. Co zaś do sztuki, czemżesz jest ona jeśli nie odbiciem natury? Ja naprzykład nie pojmuję ciebie jak możesz to cudne gniazdo oddawać bratu? Matka zostawiła ci jako starszemu prawo wyboru, tu wszystko przecież żyje tradycją rodzinną, każdy mebel w pokoju, każdy drobiazg ma swoją historję, każde drzewo w parku.

Hrabia Lis spuścił głowę i słuchał.

— Mię wychowano kosmopolitą — rzekł na usprawiedliwienie.

— Nie, nie, powiedział jeden z naszych wielkich pisarzy Weissenhoff, że kosmopolityzm jest tylko najwybujalszą formą egoizmu, a przecież ty tej wady nie posiadasz.

— Kto wie?

— O nie, nie.

— Od dziecka w niemieckiej szkole, to człowiek i nie wyrobił w sobie tych uczuć gorących.

— A jednak kochasz kraj — mówiła Ira — kochasz bo i w parlamencie pracowałeś dla niego i teraz tam u siebie na wsi, tylko nie chcesz się do tego przyznać.

Przeszli park cały wzdłóż i wszerz, powrócili do zamku na obiad.

— Wiesz — mówi Henryk Irce — tego dnia kiedy matka umarła urwała się lampa w jadalni i spadła tłukąc w kawałki.

— Widzisz i jak tu nie wierzyć w takie rzeczy, ja jestem przesądna.

— Boś dziecko.

Z jadalni przeszli do salonu, przy kominku przysiedli gdzie smolne drzazgi płonęły czerwonemi językami ognia, czasem iskra, niby rakieta, wystrzeliła wesoło w górę, czasem zasyczała wilgotna gałązka brzeziny. Ira oparła głowę o ramię Henryka i utonęli w myślach, a może tylko zasłuchali się w serc swoich bicie.

A z dalekiego klombu, czy od strony lamusa słowik się odezwał. Z początku jakby stroił instrument gardziołka, urywanie, krótko, gdzieś zdala odpowiedział mu drugi i w tej wieczornej głuszy rozegrała się przedziwna kantata szarych ptasząt, majowych pieśniarzy.

I szła cisza wieczorna przez pola, szła cisza wieczorna przez łąki, przez gąszcze żywiczne drzew leśnych, po srebrnej rosie szła, drżały w niej tylko słowicze tony i pocałunki ust pragnących i serca bicie zakochanych.

Stary z[illegible]rzał, szarzał i coraz bardziej bladł w konturach[illegible]aczył, rozpływał się w nicość w ciemnościach nocy[illegible] starej hrabiny schodził na ziemię, błądził po w[illegible]onych salach, po ścieżkach parkowych chodził i t[illegible]wielkie pragnienie go gnało:

— O, że[illegible]mój Podzamcze ukochał!

* * *

A po roku wojny aby być bliżej hrabiego Lisa, przeniosła się Ira do Innsbrucka.

I wtedy największa radość gdy on przyjedzie.

Boże, Boże co to za szczęście! Przedewszystkiem serce jak wielki dzwon bije wzruszeniem, potem u ramion mu się wiesza, a potem wszystko opowiada co przeżyła, co przemyślała i co czuła.

Szał radości.

Tylko że on jakiś smutniejszy jak zwykle.

Przyjechał w połowie października.

— Co tobie? — pyta Ira.

— Nic dziecko, wojenny letarg. Już to wszystko za długo się ciągnie, jestem zmęczony.

— A na długo skarb mój przyjechał?

Zawahał się z odpowiedzią.

— Może jutro do Wiednia.

— Po służbie.

— Tak, trochę.

Ale nie pojechał, pozostał dłużej.

— Czemuś taki smutny, ty ukochany?

Bo czuje subtelnością wrażliwego serca, że tam coś w głębi tej męskiej piersi się szamoce, że coś tam dręczy. Więc otula go ramionami pieściwie, więc garnie się ku niemu i wszystkie swe uśmiechy pod stopy mu ciska.

— Ty ukochany, ty jedyny, ty szlachetny!

Bo kobieta dobra gdy kocha, musi przedmiot miłości stawiać na piedestale świętości.

— Hej, jakie życie jeszcze [illegible] ja[illegible]e może być piękne. Mój ukochany wróci do k[illegible] przecież ta szkaradna wojna musi się kiedyś s[illegible]rzyjdzie hosanna pokoju, a wtedy wrócimy do [illegible]nku, do naszego gniazdka, do naszych bibelo[illegible]tów, które tam tęsknią za nami.

Henryk hrabia Lis spuścił oczy[illegible]

— Prawda — ciągle dalej — [illegible]my. Zresztą będziemy mieszkać gdzie ty zechcesz. [illegible] wszędzie za tobą pójdę choćbyś był ostatnim nędzarzem, choćbyś był chorym, kaleką, ja już cię jedyna nie opuszczę, chyba że ty mię nie zechcesz, ale ty chcesz, wszak tyle razy mówiłeś, że już do śmierci będziemy razem.

Henryk hrabia Lis ciągle milczy.

— Zbudź się, zbudź z tego letargu. Czy ty pamiętasz nasze cudowne przedwojenne życie?

— Jak sen, jak sen! — jej odrzekł.

Wyciągnęła ku niemu swe białe pieszczone ręce i opasała mu szyję. Wtuliła usta w jego usta i nagle szał ich porwał oboje.

A na drugi dzień gdy odjeżdżał odprowadziła go na kolej.

— Kiedy przyjedziesz? — pyta.

— Nie wiem, kiedy dostanę urlop.

— O przyjedź, przyjedź jak najprędzej.

Nie pomna na ludzi u szyi mu się wiesza, pocałunek długi, gorący pożegnania, łzy żalu i blady uśmiech siłą na twarz wywołany i prośba tkliwa, cicha, serdeczna:

— O przyjedź, przyjedź jak najprędzej.

— Przyjadę jak tylko będzie można.

Odszedł, jeszcze z daleka widzi jego wysoką zgrabną sylwetkę, jeszcze futerko z barankiem kołnierza, jeszcze obejrzał się uśmiechnął i zginął w tłumie kędy już dla postronnych osób wejście zamknięte.

Więc Ira do kościoła biegnie.

— Matko [illegible] tsza z burz mego życia nietknięta i niezac[illegible] [illegible] arę wyniosłam w Ciebie o przeczysta. Ratuj [illegible] i jego, jego, weź w opiekę. Ja kocham Boża [illegible] cham go i kajam się u stóp Twoich, daj u[illegible] ć szczęście i daj już pokój ludziom na tej bi[illegible] i!

* * *

W cztery dni później śniło się Irze, że była z Henrykiem w Podzamczu i on jej mówił:

— Weź sobie co na pamiątkę z dzisiejszej wizyty.

Sięgnęła po małą czarkę ze szkła czy onyksu zielonego.

— Taki drobiazg bierzesz?

— Tak, ale ten drobiazg taki piękny.

— Jak twoja dusza.

— Jak moja dusza — powtórzyła.

Nagle hrabia Lis zaczął się śmiać szalenie.

— Tak mi się to wydaje komicznem, że człowiek ma duszę!

Wskazał ogromny zegar.

— Weź to odemnie.

— Zegar, zegar? mówiła Ira. — Wiesz, jest przesąd u niektórych ludzi, że nie powinno się nikomu dawać zegara.

— Dlaczego?

— Mówią, że zegar zły omen, oznacza czas, że już czas na coś.

A hrabia Lis znów się zanosił od śmiechu.

— Nie bądź dziecinna, cudowny empire, wszak lubisz ten styl.

Podawał jej go tak energicznie, że czarka którą trzymała wysunęła się z jej rąk i upadła na ziemię.

— Moja dusza! — krzyknęła Ira i otworzyła oczy.

Nieprzyjemne wrażenie było silne, ale po chwili już śmiała się do wspomnień dopiero co śnionej jego kochanej twarzy, potem artystyczna natura zaczęła rozpamiętywać widziane we śnie meble i drobiazgi i znowu na wspomnienie stłuczonego szkła twarz kobiety się zasępiła:

— Bo zawsze mówił, że moja dusza jak grecka amfora, delikatna i cienka.

Z za gór z dalekiego horyzontu wyjrzało nagle słońce i przebiwszy się przez szyby do pokoju zajrzało i złotą płachtą okryło łóżko i Irę na niem leżącą. Wyciągnęła ręce i jak w kąpiel zanużyła w ciepłotę ową ramiona.

— O, Henryk, Henryk, ukochany mój, posyłam tobie wszystkie te promienie słoneczne, posyłam tobie myśli me złote, dzień dobry jesiennego a tak cudnego poranku i posyłam ci utęsknione serce moje i ramiona spragnione twojej pieszczoty

. . . .

A na zegarze życia nielitościwa ręka losu w tej właśnie chwili znaczyła łzami i krwawym bolem koniec szczęścia, niedolę życia, ukrzyżowanie duszy ludzkiej, ukrzyżowanie serca ludzkiego i zniweczenie wiar wszystkich i ideałów, bo właśnie ten ukochany, ten najdroższy, ten jedyny, ten właśnie, miał zadać cios ów śmiertelny.

* * *

Wraca Ira do domu uśmiechnięta.

Słońce, w jego promieniach góry mienią się barwami farb. Złote liście, kiście czerwone, zieleń igieł przepysznie lśnią na gór stokach. Innsbruck jest piękny w pogodne dnie jesienne.

Ciepło, rozpięła żakiecik i idzie uśmiechnięta.

Aż ją coś podrywa radośnie. Kupiła po drodze maleńką ramkę do rysuneczku, który jej kiedyś ofiarował.

— Wiem, że coś artystycznego do tego wymyślisz — mówił, bo lubił jej kulturę i estetyczne wykształcenie, pysznił się niem niejednokrotnie.

Więc kupiła ramkę i z góry już się cieszy, że jak przyjedzie znowu to będzie radość. A przytem pęk chryzantem niesie. Zawsze są w domu świeże kwiaty, stoją przy jego fotografji. On lubi kwiaty, ona za niemi przepada.

Kwiaty jak ludzkie dusze, jak serca ludzkie subtelne.

Takie milczące a tyle mówią.

Bo kwiaty mówią.

Mówią o pięknie.

Mówią o miłości.

Mówią o krótkotrwałem życiu.

— „Toutes les fleurs ne fleurissent qu'un jour!"

Jakaś stara francuska piosenka gdzieś zapomnianą dawną melodją przypominać się jej zaczyna.

— „Toutes les fleurs ne fleurissent qu'un jour!" powtarza.

Weszła do pokoju i od progu już ujrzała listy leżące na biurku. Poznała zdala kopertę, jakiej używał Henryk poznała pismo, rzuciła więc kwiaty na krzesło i z uśmiechem radosnym list uchwyciła.

A on pisał:

— „Stało się, co się stać musiało — wielkie głupstwo — ale musiałem się ożenić. Dziękuję za wszystko, Bóg z tobą na dalszą drogę życia. Mój testament został zmieniony nowem pismem i proszę o zwrot klejnotów

Henryk hr. Lis."

Z całą samowiedzą odczytała, zrozumiała wszystko i nie jęknęła nawet.

Z całą świadomością człowieka skazanego na śmierć.

I gestem, który chyba u niebios tronu był widocznym, rękę z listem ku zawieszonemu nad łóżkiem krzyżowi wy-

ciągnęła i jeden wyraz bólu, jeden krzyk, spazm nadludzkiej skargi:

— Chryste! —

I runęła na ziemię.

* * *

A potem, potem przyszły takie dnie i takie noce, że nic nie pamięta.

A potem, potem przyszły takie dnie i noce, gdzie ciągle huczały jej w głowie słowa listu.

— „Stało się, co się stać musiało, wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić.“

Przestały łzy płynąć, źródło się ich wyczerpało, tylko myśl uparcie krąży około jednego.

Że nie ma już na świecie nikogo.

Czasem znowu plączą się jej myśli.

— O, gdyby on wiedział, jak ja szalenie cierpię, podzieliłby ze mną cierpienie, bo podzielony ból mniej boli.

— On, kto on?

— Henryk hr. Lis?

Jest na pół obłąkana z bolu.

Więc ktoś z życzliwych jej radzi, aby do Jezuitów poszła, tam księża polscy są, może w modlitwie i duchowej pociesze ukojenie znajdzie.

Więc idzie.

Stanęła w przedsionku Cannisianum.

— Czy mogę się widzieć z księdzem N. zapytała?

— A jakże, a jakże — odpowiedział stary mnich odźwierny.

— Interes ogólny czy prywatny?

— Prywatny.

— Oto rozmównica, proszę poczekac chwilę!

Mały, czysty pokoik z oknem na jesienny ogród, na ścianie wielki rysunek „Chrystus i Magdalena.“ Duże staroświeckie meble i jakaś cichość przeogromna.

Ira usiadła i zbiera myśli, przyszła tu wiedziona instynktem samozachowawczym, do polskiego księdza przyszła. Zna tę rodzinę i słyszała o nim wiele. Ten bogaty arystokrata porzuca dom, porzuca wykwintne życie i idzie do zakonu. Czy szuka ukojenia, czy ucieka przed kłamstwem życia i jego zawodami, Ira nie wie?

Ira do niego poszła. Czuje potrzebę rozmowy, czuje, że ktoś ją musi podtrzymać, bo nagle cała wiara, jaką miała gdzieś ginie, niweczeje, rozpływa się w niebyt. A ona chce otuchy, ratunku, wie, że to jedyna świętość, która na resztę życia musi jej pozostać.

Po niedługiej oczekiwania chwili usłyszała kroki idącego, które na kamiennej posadzce korytarza odbijały się dalekiem echem, wreszcie wysoka, szczupła postać mnicha przed nią stanęła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedziała Ira.

— Czem pani mogę służyć?

— Księże, ratunku! — U nóg mu przyklękła i spowiadać zaczęła życie swoje. Padały w cichość klasztorną pokoju słowa nabrzmiałe łzami i przeogromnym bolem a przeplatane słodkiem brzmieniem: „kochałam, kocham!“

Ten wyraz tak przepotężnie drżał w tej skardze jak jakaś najcudniejsza melodja.

Ale ascetyczna twarz księdza właśnie na owe dźwięki jeszcze ostrzejszą się stała.

— Jakto, kochałaś w grzechu, bez ślubu? Może właśnie to droga, którą Bóg cię nawraca do siebie — powiedział sucho.

— Mnie Bóg dał serce do kochania, mnie Bóg dał zmysły i wrażliwość wielką, mię Bóg stworzył człowiekiem!

— Więc jeżeli jesteś w grzechu taka uparta, cóż ja mam radzić?

— Ja przestać kochać go nie mogę!

Powstał z fotelu jeszcze bardziej zamknięty w sobie, suchy, sztywny, daleki.

— Trzeba się wyzbyć grzechu, a potem myśleć o poprawie — rzucił znów oschle. — Bo jeżeli ktoś żąda ratunku, z grzechu poprawić się musi.

— Ależ ja kocham!

— To właśnie grzech! Jeżeli kościół nie związe Sakramentem małżeństwa dwóch istot, to grzech. — I znów powtarzał. — Grzechu trzeba się wyzbyć, przedewszystkiem grzechu wyzbyć. Dziś kobiety, szczególnie podczas wojny, szerokie pole mają do działania. Praca, trzeba się wziąć do uczciwej pracy, teatr, teatr to nie praca, to zabawka bardzo do złego ciągnąca. Niech pani idzie gdzieś do biura, albo na pielęgniarkę, do telegrafu też kobiety dziś przyjmują.

Ira otworzyła szeroko oczy.

— Uczciwa praca takich złudzeń i rozczarowań nie daje, a przy tem świętość obyczajów, zdala od mężczyzn, zdala od zgorszenia, zdala od pokus. Właściwie powinien bym być zadowolony, że wypadek pomógł pani zerwać z grzechem.

W kobiecie coś drgnęło oburzeniem i nagle wyprostowała się i mimo łzy mówiła sucho:

— Księże, a czy ksiądz nigdy nie kochał? czy ksiądz wie, co to jest miłość, co to są zmysły? Jeżeli tak, to żal mi księdza, bo nie zna życia, tego cudnego życia! Ja ukrzyżowana jestem męką cierpienia, obłąkana poprostu bolem, ale żyłam, miałam te sześć lat, a właściwie cztery lata przedwojennego życia, gdy byliśmy razem, jak raj. Księże, to była bajka o życiu, pieśń najcudniejsza, to było szczęście! Czy ksiądz przeżywał takie wiosny jak ja cudowne? Poświata księżyca, srebrny świat cały i cisza taka przeogromna aż święta, wonie jakieś przedziwne z kielichów kwiatów jak z kadzielniczek płyną, bzy kwitną, jaśminy, drzewa akacji, usta do ust się garną, a słowik tęsknie nuci o miłości i cała ziemia woła:

— Kocham! kochaj!

— W takie noce biją serca w piersi goręcej, rwą się płomienie słów na wargi, bo wszystko co żyje w świecie, odczuwa przedziwny czar natury. Nawet zwierzęta, ptaki i małe, maleńkie żuczki majowe, a cóż dopiero ludzie? O, księże, ja znam takie wiosenne noce, ja wiem co są pocałunki upajające jak wino, ja wiem co są tęsknot godziny w oczekiwania pragnieniu, ja wiem co są szalone spazmy rozkoszy w ramionach ubóstwianego człowieka, ja wiem to wszystko, znam. A ksiądz mi każe z grzechu się otrząsnąć, z tego co było pięknem i świętością mojego życia, z tego co wiodło mię do całego szeregu dobrych czynów, co prowadziło mię do podwoi szpitalnych i drzwi nędzarzy, by ulgę im przynieść z myślą, że Bóg zapisze to i jemu w życiu nagrodzi i jemu życie ozłoci. Wszystko, com uczyniła dobrego, wszystkom czyniła z myślą o nim i dla niego. I to miałoby być grzechem? O nie, mój Bóg jest Bogiem miłości i miłosierdzia, a Bóg księdza chyba jest gromem,

A surowy mnich zasłonił twarz i stał oparty o framugę okna.

Wyciągnęła rękę ku obrazowi Chrystusa.

Ten, który Magdalenę do siebie przygarnął, Ten, który nie miał słów pogardy i oburzenia dla niej, miałby potępiać uczucie, które sam stworzył? Miałżeby najukochańsze swe dzieci karać za to, co dał im najpiękniejszego, za miłość? Cudowną miłość kobiety do mężczyzny? O nie, księże! Gdyby mi dziś Henryk powrócił, mimo gromów ascetów, będę go kochać jak dawniej, jak zawsze, bo przez tę właśnie miłość stałam się dobrą.

Umilkła i długą chwilę była cisza przeogromna. Mnich stał z zasłoniętą twarzą oparty o framugę okna, nieruchomy jak posąg, tylko za szybami czasem jak żółty motyl frunął liść kasztanu wiatrem niesiony z drzewa i o szyby szeleścił osuwając się złotą plamą niżej, niżej aż za parapet ramy.

— Księże, — podjęła znów kobieta — Polacy jesteśmy, a jeden z naszych nieśmiertelnych, nie kaznodzieja i nie mnich asceta, powiedział:

— „Miej serce i patrz w serce.“

— Czyżby ta szczytna myśl naszego wieszcza pustym frazesem być miała?

I znowu cisza zaległa klasztorną celę i znowu liście kasztanów jak błędne motyle o ścianę szyby się obijały wibrując w powietrzu złotemi barwami.

I była długa, długa cisza w pokoju, aż wreszcie kobieta ocknęła się pierwsza i powolnie wstając z fotelu ku odejściu zbierać się poczęła. Ku stojącemu podeszła i z dźwiękiem przeogromnej pokory zaczęła mówić:

— Przepraszam, bardzo przepraszam za uniesienie, proszę mi wybaczyć, jestem chora i bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

A na słowa pokorne te ksiądz odsłonił twarz mocno pobladłą, a z oczów łzy mu ciekły. Łzy, które na ascetycznej twarzy mnicha arystokraty może nie płynęły dawno, bardzo dawno, rekę ku głowie Iry wyciągnął i nagle załkał:

— Idź dziecko i niech ci Bóg stracone szczęście wróci, modlić się za ciebie będę.

* * *

I przyszedł taki dzień, że Roman Drzewiza czekał na Irę na dworcu insbruckim, zabierał ją bowiem do Wiednia.

Wiatr wył noc całą, ciemny, jesienny poranek, gdzie niegdzie blask latarni na pół przyćmionej, gdzieś u wylotu ulicy Marji-Teresy na niebie skrawek zorzy czerwonej

— Jak krew — pomyślała Ira.

Nikt jej w pensjonacie nie żegnał. Jej tragiczna postać odstraszyła ludzi, zresztą o piątej rano komu się z ciepłego łóżka wstać chciało? Zaspana pokojówka wydała posłańcowi rzeczy i biorąc napiwek życzyła szczęśliwej podróży.

......Idzie Ira na nowe życie, na nową dolę, a właściwie na niedolę życia.

Wiatr wyje, potrąca ją silnie, na ulicy pustka, kilku żołnierzy sennie się snuje.

Inaczej ona tu przyjeżdżała.

Boże, z jakiemi nadziejami! Serce jej biło radośnie, bo jechała do niego, po niego, miała nadzieję, że wrócą razem, wrócą do Galicji rozpocząć nową pracę. Tam w kraju ile to rąk będzie potrzeba do podniesienia tego, co wojna zniszczyła. Ile to rąk potrzeba kochających, ten biedny sponiewierany szmat ziemi ratować i siać nową pracę.

A on przecież do ziemi ma wiele przywiązania i uczuć serdecznych. Wojna trochę przytępiła wrażliwość, ale pod wpływem ciepłych słów Iry odtaje zamróz naleciałości i da Bóg wrócą razem do ojczyzny.

Przecież w Wiedniu, jadąc do Innsbrucka tyle się nadreptała do ministerjum aby go uwolnić z wojska, bo pisał że tam trzeba tę sprawę poprzeć, tyle się nasiedziała w przedpokojach panów posłów parlamentarnych.

— Dlaczego właśnie pani za nim prosi, kim pani jest dla niego?

— Jego kochanka. — I rumieniec na twarzy, bo ona zawsze się wstydziła tego, choć w gruncie rzeczy była dumną być jego, że właśnie ona, ona należy do niego, ale to przecież wstyd rzucać ludziom w oczy:

— Kochanka.

Taki cudny wyraz a tak przez ludzi zelżony, bo człowiek wszystko zbezcześcić potrafi, nawet to słodkie wyrażenie:

— Kochanka.

Ile to przemyślała wtedy nadzieją upojona.

— Zabiorę, zabiorę jak swego.

A potem ten jeden dzień oczekiwania w Innsbrucku, a potem ranek niezapomniany nigdy.

U szyi mu zawisła drżąca, nieprzytomna prawie ze szczęścia.

— Henryk! Henryk! — ledwie wykrztusić mogła przez łzy i skurcz nerwowy, który jej silnem wzruszeniem ścisnął gardło.

A on ją tulił jak dziecko.

— Ira, Ira zeszczuplałaś mi trochę.

— Z tęsknoty ukochany. Ale ty także zmizerniałeś.

— Na wojnie się nie tyje.

I tyle słów i tyle rwących zdań i tyle serdecznych myśli.

Potem poszli do kościoła podziękować Bogu za wszystko i pokłonić się królewskim posągom u Franciszkanów.

— Stoicie tu wieki całe — myśli Ira — a nie widzieliście większego kochania jak moje.

Potem mówi:

— Pamiętasz Henryk w Brzeżańskiej kaplicy brązowe sarkofagi i marmurowe płaskorzeźby, stokroć piękniejsze niż monument cesarza Maksymiljana. Jak najcudniejsza koronka dziergane cienkie i delikatne, tylko my Polacy nie potrafimy dostatecznie czcić swoich skarbów.

— A nie zniszczyła ich wojna? — pyta hr. Lis.

— Nie, nie, uszanowali piękno historji i dziejów narodowych wrogowie, są wszystkie nietknięte.

— Pamiętasz?

I ciągle to cudne słowo co na usta zakochanych się ciśnie.

— Pamiętasz?

O, pamięta ona wszystko, pamięta dobrze. Raju nie zapomina się prędko, bo przecież jej z nim życie było rajem.

Pomodlili się Bogu, pokłonili żelaznym rycerzom i poszli na spacer nad rzekę. Inn toczy swe fale cicho, dostojnie, pełen powagi. Nie przeglądają się w nim obrazy nadbrzeżne, ujęty bowiem w wysokie obmurowanie kamienne, odbija tylko prostopadłe promienie słońca, a nocą gwiazdy. Spokojny, zrównoważony jako i ludzie kraj ten zamieszkali.

Ira przytuliła się do ramienia hr. Lisa i mówi słodko:

— Pamiętasz?

— A ty pamiętasz?

— Słuchaj — powiada do niego — porzuć służbę, wracajmy do kraju, do ministerjum chodziłam i przyobiecali cię uwolnić, tam u nas trzeba teraz ludzi pracy, ludzi nieskazitelnych.

— Jak Bóg da wrócimy.

— Jak Bóg da, jak Bóg da.... ale Bóg nie dał.

I oto wraca sama, jak pies kopnięta, chociaż i psa się nie porzuca tak bezlitośnie. 22-go października trzymał ją w ramionach swoich a 26-go należał już do innej.

Zawyło w niej bolem szalonym.

W szeregu domów ujrzała nagle światło, to kościół, weszła. Organy grały, ktoś śpiewał, ksiądz przy ołtarzu odprawiał modły. Szare postacie żołnierzy gięły się pokornie ku ziemi, więc Ira przyklękła a raczej przysiadła na posadzce skulona, drobna, chciała błagać, wołać ratunku zmiłowania, ale słowa modlitwy marły gdzieś na dnie. Wzrok utkwiła w twarzy Ukrzyżowanego a z boskich oczu biła moc przeogromna, jakby mówiły:

— Weź krzyż swój w pokorze i chodź za mną.

Ale samowolny duch ludzki rwał się i buntować pragnął.

— Dajesz mi Chryste cierpienie którego dźwigać nie mam siły.

— Musisz! — mówiły oczy z obrazu.

— Nie chcę! — rwał się oporny duch człowieka.

— Kto mię kocha ten idzie za mną — powtarzały boskie oczy.

Nagle Ira szarpnęła się pełna buntu.

— Chryste, wszak sam mówiłeś: „proście a będzie wam dano”.... a ja tak prosiłam, tak błagałam, a tyś moje błagania odtrącił.

— Weź krzyż swój w pokorze i idź za mną....

Zerwała się z klęczek.

— Nie mogę, nie mogę Chryste! Wróć mi tę wiarę, którą miałam przedtem, daj gorącości modlitwy, wypleń złe ziarno z mego serca, bo jakaś oschłość mnie napadła i nie wiem gdzie szukać ratunku. Coś strasznego ze mną się dzieje. Jeżeliś Bogiem miłosierdzia, ratuj!

— Weź krzyż swój w pokorze i chodź za mną...

Zaczęła półgłosem mówić pacierz.

— Ojcze nasz.... a czyimś Ty ojcem? — przyszły jej na myśl Konopnickiej wiersze.

— Bądź wola Twoja....

Znów szarpnął nią bunt wewnętrzny.

— Bądź wola Twoja?.... jakby pytała.

— I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Przecież ja jemu Henrykowi odpuszczam. Ja go kocham tylko tamtej niemce, kobiecie, która mi go zabrała, nie przebaczę nigdy.

Uczuła, że gady przekleństw i złorzeczeń cisną się jej na usta spalone gorączką cierpienia, aż się sama przed sobą wzdrygnęła oburzeniem, bo w jej słodkiej naturze złorzeczenie nie leżało nigdy.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy....

Ale na dnie jej zbolałej duszy dla tamtej już odpuszczenia nie było. Jakaś zaciętość i niema skarga na pół obłąkanego serca.

Nagle przypomniała sobie, że wyjeżdża stąd, idzie na kolej, że może raz ostatni w życiu jest w Innsbrucku, gdzie ją tak wielka krzywda spotkała.

Wojna, obce miasto, nikogo z bliskich i tak bezgranicznie niespodziewany cios.

A krzywda podczas wojny jest podwójną krzywdą.

Tylko jemu ona przebacza, bo on może nie wiedział co czyni.

„Stało się, co się stać musiało, wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić".

Zerwała się z klęczek i wyszła. Wiatr znów ją chwycił w swoje garście, zaszamotał płaszczem, zatargał woalem kapelusza i pobiegł hen w jaśniejszy już świt budzącego się dnia. Gaszono latarnie, zdala już majaczyły kontury oświetlonego rzęsiściej dworca, a w przedsionku powitał ją cichy, ciepły głos Romana Drzewizy.

— Musi się pani napić herbaty, dobrze? rzeczami zajmie się portjer hotelowy.

Ira skinęła głową i nagle łzy jej zaczęły płynąć po twarzy, łzy bardzo smutne a bardzo gorące, że jeszcze na świecie był ktoś, kto pomyślał o tem, aby napoić ją herbatą, że jeszcze ktoś ulitował się nad nią i delikatnie przemówił.

Potem cały dzień jazdy.

Drzewiza wtulił się w kąt kanapy i drzemie a właściwie przymyka oczy i rozmyśla.

Bo wszystkiego byłby się spodziewał po hr. Lisie ale nie tego, nie takiego rozwiązania sprawy. Miał go za gentelmena w całem tego słowa znaczeniu, a kto zrywa z kobietą w ten sposób? Pierwej się rozwiązuje jeden stosunek a potem nawiązuje drugi, a tak, w ten sposób postępują tylko... nie dokończył myśli nie chciał rzucać błotem na człowieka, którego był długoletnim przyjacielem.

Irę uważał za jego żonę, widział jego miłość do niej i jej głębokie przywiązanie. Z początku gdy hr. Lis nie był jeszcze odziedziczył dużego majątku po matce, Ira bardzo małymi środkami obywać się musiała. A jednak zawsze uśmiechnięta i wesoła i zadowolona. A potem to jej siedzenie w Innsbrucku, zdala od domu, tułaczka po pensjonatach aby być tylko bliżej niego. Ile to razy pisała mu wyczerpana tęsknotą i nostalgją, która ją pożerała:

— Boli mię, że Henryk nie spieszy do kraju, boli mię to bardzo. — A później. — Ja się duszę wśród tych ludzi nie lubiących mego narodu, ja się dławię poprostu niekulturalnością otoczenia.

A on jej odpowiadał zwykle:

— Wszak pani kocha Henryka, a jemu przyjemnie, że kobieta kochana jest blisko, a gdyby zachorował?

I to było największym bodźcem, bo lekarze mówili Irze, że z reumatyzmu którego się na wojnie nabawił, może przyjść ciężka choroba krzyża i będzie musiał w wózku resztę życia przepędzić, a ona drżała o niego, swoje zdrowieby oddała, aby on tylko nie zaniemógł. Dla tego też nie była tak wesoła jak dawniej, gdyż jak zmora dręczyła ją świadomość, że on może być chory.

— Biedna — myśli Drzewiza — biedna. Cóż ja więcej poradzić mogę? Odwiozę do Wiednia, może tam do równowagi wróci. Takie uczucie podeptać, takie wielkie przywiązanie kopnąć, tyle poświęceń zapomnieć... znów nie dokończył zdania.

A potem myślał:

— Szkoda, szkoda, właśnie kraj do nowego życia się budzi, powstaje ojczyzna wolna, niepodległa. Nam teraz trzeba ludzi dzielnych, niepokalanych, nam trzeba wiele miłości ojczyzny, serc gorących, rąk chętnych pracy i kapitałów, — machnął ręką z oburzeniem — pójdą na marne cudowne zbiory Podzamcza, pójdą na marne cudowne dzieła sztuki zdobiące ten polski zamek, pójdą na marne cenne Korce i Baranówki, słuckie pasy i złotolite makaty. Awanturnicza niemka nie oceni ich piękna, nie uszanuje przeszłości, przepadną dla kraju, przepadną. A właśnie Ira to kochała, ona ceniła jak świętość pamiątki rodzinne, w jej piersi biło serce Polki.

Sumował długo, długo, myśli te były smutne, aż wreszcie ubrał je w jeden treściwy wyraz:

— Renegat!

* * *

Idzie Ira przez ulice Wiednia jak senna. Chora moralnie. Przywiózł ją Drzewiza powołany depeszą przez kogoś

z życzliwych. Ktoś litościwy zapakował kufry i Ira w pensjonacie mieszka.

Idzie ulicą, listopadowy mróz ściął dobrze ziemię a ona w żakieciku cienkim, futro sprzedała aby mieć na życie i opłacenie mieszkania. Zimno jej, lecz nie zdaje sobie sprawy dlaczego? Przeszłą jesień spędzała w Meranie, gdzie bluszcze zielonymi zwojami się pięły, gdzie w południowe godziny w bluzkach można było chodzić, a teraz jej zimno.

Zmalała jej buzia, wyszczuplała figurka, wygląda jak młoda dziewczynka, tylko oczy się tragicznie podkrążyły i jakaś groza z nich wygląda.

Idzie i myśli:

Dlaczego świat taki krepą zasnuty?

Potem zwróciła jej uwagę skrzynka pocztowa.

Szczęśliwi są ci, którzy mają do kogo pisać, a ja już nigdy i do nikogo.

— Już nigdy.

Straszne słowo.

— Nigdy.

Jak odgłos grudki ziemi na wieko trumny rzuconej.

Nigdy.

Beznadziejność.

Do niej też nikt nie napisze nigdy.

Zawyło w niej coś spazmem bolu aż o mur się oparła.

A wystawy takie cudowne, wiedeńskie wystawy najsławniejsze.

Z za okna wygląda prześliczny płaszcz karakułowy, szary kołnierz z chinschili i mufka wielka, przeogromna jak na portrecie babuni. Jakby to jej w tem ciepło było, jakby się grzały białe rączki a tuliła delikatnie szyja do miękkiego futra zmysłową pieszczotą.

— Ja ci po wojnie kupię takie futerko — przypomina słowa Henryka. — Będą ci ludzie zazdrościli, a Irce będzie ciepło.

— Będzie ciepło, tylko dlaczego teraz, właśnie teraz jej zimno?

Obok stanęła, jakaś bardzo wymalowana postać kobieca, kokieteryjnie ubrana, ale też wiatrem podszyty żakiecik.

A Ira myśli:

— I dziwią się dziewczętom, że idą na lep łatwych zdobyczy. Na Grabenie, na Kärntnerstrasse potopy świateł, a wystawy magazynów cudowne. Mienią się snopy iskier w brylantach okien jubilerskich, grają dyskretne perły barwami pożądania, przepyszne sobole łaszą się pieszczotą miękkości, poematy walancjen i wstążek barwy kobiecego ciała, ażury, mgły batystów i jedwabi, to wszystko mówi, woła, prosi:

— Kobieto bądź, króluj!

Bo i najpiękniejsza bez tych obsłonek, bez tego cudnego rozebrania będzie tylko ładną pokojówką.

Perły, tu w banku w schowku są zamknięte trzy sznury bezcennych pereł, które odziedziczył po matce.

— Twoje, dla ciebie — mówił wręczając jej przed odjazdem na wojnę.

A dziś? a teraz?

Perły zawisną na szyi niemki, przecież zażądał ich zwrotu.

Znów zawyło w niej bolem.

Miała Ira w uszach kolczyki brylanty, oh! dodałaby je jeszcze, jak chętnie, gdyby niemka powróciła jej jego serce. Oddałaby wszystko. Chociaż co ona dziś posiada? Nędzarka. Jednem zdaniem „wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić“, skreślił ją z życia.

Ta była kochanka i tam była kochanka. Ta była siedem lat, tamta kilka miesięcy, może nawet tygodni, ale tam była rodzina, pseudo przyjaciele, tam była chęć wykorzystania.

— Musisz się żenić, wszak jesteś człowiekiem honoru.

A ludzie dobrze radzą gdy własny interes na celu, a jeszcze przy kieliszku, przy szklance szampana radzą

najlepiej, kołyszą sumienie, usypiają poczucie obowiązku. Cóż tamta, miałeś jej dosyć, zresztą sam mówisz dobra, nie zrobi awantury a tu będzie skandal, kobieta ma temperament. Zresztą papa, brat, wuj, dawniejszy kochanek. A mężczyźni w gruncie rzeczy są tchórze. Najodważniejszy na polu walki często umyka przed pazurkami jednej słabej a wojowniczej kobiety.

— Biedny Henryk — myśli — jak się w nim ocknie sumienie, zbudzi świadomość, jak mu będzie niezmiernie przykro. On nigdy w życiu nie uczynił nic uwłaczającego honorowi. On niepokalany, on chluba.

To była w nim jej duma największa. To nic że piękny, to nic że dobrze wychowany, ale on nieskazitelny. Jak się cieszyła gdy ludzie go chwalili.

I to była jej największa duma.

— Brr!... zimno!

A może to w niej takie zimno, może się przeziębiła i dlatego ma dreszcze, aspiriny musi zażyć, to pomaga. Na rogu apteka, wstąpi.

— Sie wünschen? — pyta aptekarz.

Ale zapomniała po co przyszła więc pospiesznie się cofa i półgłosem powtarza:

— Wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić.

A potem:

— Jak umrę, a Bóg mię się zapyta jak żyłam?, to odpowiem:

— Wielkie głupstwo, ale musiał się ożenić.

Nagle miarkować się zaczyna, że jest niesamowita, prawie obłąkana, a na to rada jedyna....

* * *

......maleńka żmijka, ostre żądełko, igiełka cienka, lśniąca, wielki wynalazek kultury, wstrzykawka morfinowa i trochę płynu. Bezbarwny jak woda prawie, a jak cudownie działa.

Rozgrzewa krew, tuszuje żale i rozgoryczenia a daje zapomnienie, kołysankę różowych snów.

Ira zna już potęgę tego cudu. Nie syknie nawet z bolu gdy igła kłuje ciało, nie, za chwilę przyjdzie znieczulenie, odpłynie żal, powrotną falą zawita dawny spokój i dawne szczęście.

Siła wstępuje w człowieka, zdrowie, ochota czynu i zabawy. Giną gdzieś łzy, maleje serce a tylko chęć życia i użycia w człowieku pozostaje

Zaraz i loczki nad czołem starannie uczesane.

Zaraz i blady na twarzy uśmiech.

Zaraz i oczy błyszczą inaczej.

Ira idzie na spacer, do kawiarni nie chodzi, jej artystyczna natura nie znosi pyłu i kurzu i zadymienia tych lokali.

Ale na spacer idzie.

Na Grabenie przed wystawą z kapeluszami tłum stoi. Kobiety niby magnesem trzymane na uwięzi piòr strusich i bajecznych rajerów. Och, jaka cudna czapeczka z pękiem parmeńskich fijołków, jakby ładnie jej w niej było. Jakby się Henrykowi jej płowa główka w tem podobała.

Szczególnie do twarzy robią te fijołki, blade i cudne w tonie.

A dalej sklep galanteryjny.

Bibeloty.

Naga kobietka z kości słoniowej. Taka cudna smukła jak Ira obecnie, bo zeszczuplała tak, że znowu ma kształty dziewczęce.

Ona i Henryk przepadają za bibelotami, a już kobiece figurki chyba najpiękniejsze.

On esteta.

Tam u nich w mieszkaniu we Lwowie stoi taka cudna statuetka w rogu sypialni.

Stuknęła palcem w szybę.

— O, piękna ty figurynko, Henryk mi ciebie kupi

i staniesz na biurku, właśnie tam jest kącik taki jeden, że aż się prosi o ciebie, o twoje boskie kształty.

— Ty pieścidełko!

A obok będą zawsze kwiaty, całe snopy kwiatów, bo nigdy nie przyjedzie ze wsi bez kwiatów.

I nagle cała fala tęsknoty za tem cudnem mieszkankiem, wonnem, miękkiem, gdzie wszystko mówiło o nim, gdzie wszystko było dla niego, zalała jej serce.

Zaczął ją chłód przejmować, rozbudzona różowa wyobraźnia powolnie blednie i świadomość rzeczywistości się budzi.

— „Stało się, co się stać musiało, wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić".

— Ha, ha, ha! — zaczęła śmiać się przez łzy.

Ktoś przystanął, młody oficer ciekawie spojrzał, ocenił kształty, sukienkę, kapelusik, wreszcie lekko, może nawet trochę nieśmiało, zasalutował.

— Darf ich Sie begleiten?

— Wszystko mi jedno — odpowiedziała po niemiecku.

— Mogę panią odprowadzić do domu? — raz jeszcze zapytał.

Nie odpowiedziała nic tylko wstrząsnęła się dreszczem.

— Zimno, prawda, może gdzie wstąpimy, napijemy się herbaty.

— Pan myśli że to rozgrzeje?

— O herbata z rumem bardzo rozgrzewa, a może pani woli wino?

Znów milczenie.

— No, więc gdzie pójdziemy? do baru, tam gra o tej porze muzyka

Jeszcze raz obejrzał ją uważnie czy dostatecznie elegancko ubrana na pierwszorzędną markę baru.

— Chce pani, tam muzyka.

— A Butterfly tam grają?

— Widzę, pani muzykalna, możemy im kazać zagrać. Tak pani lubi tę operę?

— Tak.

— Ja wolę wesołe walce wiedeńskie, lżejsza muzyka jest dla mnie milsza — mówił chcąc ją wciągnąć do rozmowy.

Ale ona znów zagłębiła się w milczenie, tak, że go to już nudzić zaczynało.

— Mąż na wojnie? — nagle zapytał.

A ona wolno, dobitnie po polsku mu odpowiedziała.

— „Stało się, co się stać musiało, wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić".

Aż podskoczył ze żdziwienia.

— Pani Polka, bo ja też Polak.

— Niestety Polka.

— Dlaczego niestety?

— Bo ja mam tragiczną duszę — odpowiedziała.

— Co pani, co pani, może w czem mogę być pomocnym?

— Niech mi pan kupi morfiny bo mi nie chcą bez recepty sprzedać, albo niech mi pan podaruje rewolwer.

— Pani rozdrażniona, smutna, co pani?

— Nic panie, ja tylko przegrałam życie. Postawiłam na ostatnią kartę życie i przegrałam. Va banque! jestem bankrutem.

Nie pojął i dalej pytał:

— Pani potrzebuje pieniędzy, tak?

— Nie ja potrzebuję morfiny lub rewolweru. Bo wie pan lęgną się w mej głowie żmije jakieś, wstrętne chimery i męczą mię szalenie, potrzebują krwi, szału. Dawniej miałam modlitwę, współczucie nieszczęścia innych, dziś nic.

Co mię obchodzi ból innych, ja nadludzko cierpię, to dosyć. Co mię obchodzi czy będzie europejski pokój czy nie, mnie wszystko jedno. Niech cała ludzkość zginie, niech się do cna wymorduje, mię nie obchodzi to nic. Ja nie mam nikogo na świecie tylko mój ból. A czy Polska powstanie czy nie, to mi też obojętne. Był czas gdy na

wyraz ten święty, ojczyzna, chyliłam z uznaniem głowę, dziś mi jest wszystko obojętne. Ja jestem obłąkana od smutku.

Mężczyzna zawahał się chwilę, może pomyślał że warjatka, więc czemprędzej zasalutował i pospiesznie w przeciwną stronę iść zaczął.

A Ira szła przed siebie, nie pomna kierunku. Wiatr ze śniegiem zacinał dobrze, a ona szła i szła potrącana przez przechodniów, nie widząc nic, nie słysząc nic i tylko czasem jęk jakiś głuchy do szlochu podobny albo do płaczu dziecka z piersi jej płynął w świat.

Może ku gwiazdom dążył i skarżył się Temu co dał się ukrzyżować właśnie za tych, którzy innym źle czynili?

A może śnieżne płaty ku ziemi go niosły i mieszały z błotem ulicznem?

A może jęków i krzywd ludzkich nikt na świecie nie słuchał i nikt się nad nimi nie litował?

* * *

W Brixen w hotelu Gugenberg ogromne oczekiwanie. Dwa najładniejsze pokoje hrabia Lis wybrał dla siebie i dla młodej małżonki. Nie sprowadził jej zaraz, wkońcu jednak ożenił się i trzeba było „panią hrabinę“ pokazać światu.

Może tam na dnie, gdzieś na samem dnie sumienia, czaiło się przykre uczucie niezadowolenia z siebie i świadomość uczynionej krzywdy Irze, może mu trochę wstyd było przed ludźmi nieznanej i nie bardzo jasnej przeszłości i zbyt dla niego młodej żony, a może myślał, że doniesie się przed korpus oficerski i za złamanie słowa honoru danego innej, pozbawią go szarży i szambelaństwo odbiorą. W każdym razie nadrabiał miną, tulił się do niemki, która za innymi strzelała oczami i z objęć starszego męża wydzierała się z nudą i wstrętem, a tylko chętnie wyciągała ręce po datki i pieniądze.

— Dajże mi te przyobiecane perły — mówiła chciwie

— Dostaniesz, dostaniesz.

— Ale ja chcę zaraz Heinrich! — kaprysiła.

Więc hr. Lis napisał do Drzewizy:

— Proszę mi odesłać kosztowności, potrzebuję je zaraz.

Zabolało to mocno Drzewizę. Pamiętał bowiem chwilę odjazdu i wręczanie klejnotów Irze, pamiętał że Henryk płakał wtedy.

— Ona warta, ona warta tego, ona jedyna najlepszą w świecie.

A dziś, dziś ta blada twarz Iry, te jej sino podkrążone z jakimś tragicznem spojrzeniem oczy i ta jej straszna niedola, jakże dalekie od chwili dawniejszego szczęścia.

Co zmieniło tego człowieka, co wpłynęło tak na ten niepokalany przedtem charakter? Przyjedzie, odbierze klejnoty, może coś o Irze postanowi, jakieś zadosyćuczynienie, „pranie honoru“ — myślał z przekąsem.

To smutne, jeżeli już trzeba komuś właśnie tego „prania honoru“.

A Ira wegetuje w Wiedniu. Czasem coś się przypomni z dawnego życia.

Przychodzą chwile, że jej się zdaje że to zły sen wszystko. Obudzić się, obudzić do życia, nie czuć nie cierpieć tak strasznie.

Tylko modlić się nie może. Płyną słowa z ust a nie z serca, jak dym podczas mgławicy przy ziemi się kłębią a strzelistości dawniejszej niema.

W Brixen jednak wesoło.

Niemka z niecierpliwością czeka pereł i brylantów. Nie mogąc sam hr. Lis przysłał zaufanego kaprala z listem po nie, ale Drzewiza się zaciął w uporze i nie wydał.

— Nie mogę ci zwracać rzeczy, które z rąk pani Iry przyjąłem, musimy się osobiście rozmówić.

A z tego piekło, grymasy i dąsy.

— To ty mię tak kochasz Heinrich!

— Dostaniesz, dostaniesz, muszę tylko po nie sam jechać. — Ale mu nie sporo wybrać się do Wiednia, wstyd ludzi.

— Ja cię samego nie puszczę. Ta twoja utrzymanka i ci twoi przyjaciele to apasze, złodzieje, najlepszy dowód że nie oddali, zaskarż ich do sądu.

— Uspokój się dziecko, uspokój.

Ale niemka grymasi, w rzeczywistości jest wściekła, ona później potrafi z nim zrobić porządek

— Stary Trottel może myśli, że ja dla jego pięknych oczu złapałam go sobie

No i wreszcie pojechali do Wiednia.

Wybrali się przed Nowym Rokiem i na początek karnawału, chociaż jaki to tam karnawał w trzecim roku wojny. Ale zawsze teatry, koncerty, ruch wielkomiejski a głównie niemka potrzebuje toalet, a co jeszcze główniejsze owe upragnione perły i brylanty.

Przyjechał i Drzewiza wezwany przez hrabiego Lisa, jedna tylko Ira nic nie wie i nic nie przeczuwa.

Siedzi sobie w maleńkim pokoiku pensjonatu z wyczerpania moralnego chora, cicha, smutna. Drzewiza jej poradził aby czekała. Zdobyła się tylko na czyn heroiczny i wyrzuciła morfinę i tak przeszły już dwa miesiące.

W sam Nowy Rok przed wieczorem, zatelefonował nagle Drzewiza, że hrabia Lis przyjechał do Wiednia.

Załkało w niej przeogromne szczęście, że go zobaczy znowu, potem szalony żal że nie jest sam, że przywiózł ze sobą i niemkę. Nieprzytomna z wruszenia zbierać się poczęła, pójdzie, musi iść, musi mu powiedzieć jak za nim bezgranicznie tęskni, jak jej jest strasznie bez niego, na jakie męki wydał jej serce i upokorzenia bolesne.

Idzie, nogi ją same niosą, wreszcie w portjerni pyta:

— Czy hr. Lis tu mieszka?

— Tak na drugiem piętrze 45-y numer.

Piccolo podwiózł ją windą i drzwi uprzejmie wskazał. Podała mu koronę i z całą samowiedzą i spokojem zastukała.

— Herein — ktoś się odezwał, nacisnęła klamkę i weszła.

Naprzeciw drzwi przy środkowym stole, w niebieskim krepowym szlafroku, siedziała kobieta młoda, o dużych ciemnych oczach, przyfarbowanych na jaśniejszy ton włosach i o bardzo upudrowanej twarzy.

Zdziwionemi oczyma spojrzała na Irę i nagle, mimo kosmetyczne dodatki, pobladła, niespokojnie powstała z fotelu jakby iść chciała do zamkniętych drzwi prowadzących w głąb do drugiego pokoju, skąd dolatywały urywki głośnej rozmowy, lecz Ira już stanęła w kierunku jej myśli, tak, że niemka musiała się zatrzymać.

— Czy to pani jest żona hr. Lisa? — zapytała.

— Tak, ja.

— A pani wie kto ja jestem?

— Nie, nie, nie wiem. — Ale po widocznem zmieszaniu widać było, że kłamie.

— Ja jestem Ira kochanka hrabiego Lisa. Pani o mnie nigdy nie słyszała?

Tamta spuściła oczy.

— Jak pani Boga się nie boi, jak pani Boga się nie boi! — powtórzyła. Za moją krzywdę Bóg ją ciężko ukarze. Zabrała mi pani szczęście, zabrała człowieka którego do szaleństwa kochałam!

A niemka nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co? co? kochać takiego starego człowieka, takiego starca, ja go tylko lubię — i śmiała się ironicznie.

Ira oniemiała, jakby przepaść bez dna przed nią się rozwarła.

— Więc to jest jego szczęście dla którego poświecił wszystko, więc to jest ta jego ukochana „prawdziwa żona“, więc ona drwi z niego w dwa miesiące po ślubie i nagle jak błyskawica przez mózg przebiegła Irze świadomość.

— Ta mu zapłaci!

I pokój zaległa długa chwila milczenia.

Ira uczuła że siły ją opuszczają, że spokój i wola kruszeje, więc na kanapie przysiadła.

— Muszę odpocząć — rzekła na pół głośno — i zaraz pójdę.

Na stole stała karafka, nalała wody do szklanki i ku ustom podniosła, dłoń jej drżała, więc by szkła nie upuścić potrzymała drugą ręką, na której zalśniła perła w otoczeniu brylantów pierścionka, co zobaczywszy niemka przez stół się nachyliła i na klejnocik wskazując rzekła:

— Czy ten pierścionek jest od hrabiego Lisa?

I poraz drugi bezwzględna niskość charakteru tej kobiety uderzyła Irę. Subtelną swoją duszą wyczuła w niej, w tej nieznanej, w wojennej zawierusze przygodnie poślubionej, z szerokiego świata przybyłej, wyczuła instynkty podwórza, przybłędę żądną złota i stanowiska, za wszelką cenę złota! Chciała ją nazwać jakoś, skrystalizować, ale nie znalazła dostatecznego określenia w polskiej mowie.

I cisza zaległa pokój, a za przymkniętemi drzwiami snuła się rozmowa zmieszanych głosów męskich, ale tu była cisza. Dwie kobiece postacie siedziały naprzeciw siebie, obce, dalekie, nienawistne sobie, obce wychowaniem, instynktami, uczuciem, a dziś już i stanowiskiem Serca im biły tylko niespokojnie.

Jedna nieszczęśliwa, biedna, porzucona kochanka, a jednak mająca w sobie cudowny majestat zdetronizowanej królowej, druga zaś pyszna, pychą dziewki ulicznej niespodziewanie na tron wyniesionej.

Nagle otworzyły się drzwi i hr. Lis w nich stanął, zobaczył Irę, może pomyślał że to złudzenie wzroku, bo postąpił bliżej i z całem tchórzostwem człowieka obciążonego złym czynem cofnął się, a twarz mu powlekła purpura wstydu i jakiś grymas na ustach osiadł. Cofnął się i za chwilę gestem jakimś nerwowym przepuścił przed sobą Drzewizę i jeszcze jakiegoś pana, który się tam znajdował. Ruch ten był taki, jak gdyby zasłaniał się nim przed tą kobietą bladą, cichą w majestacie bolu swego i krzywdy

Ale właśnie ta smutna kobieta siedziała nad wyraz spokojnie, nerwowy kurcz ścisnął jej gardło, wreszcie zdobywszy się na siłę, ze łzami w oczach łagodnie mówić poczęła:

— Henryk, Henryk ja przyszłam... przyszłam spytać się ciebie, co ja mam teraz ze swojem życiem zrobić?

I hrabia Lis pozbył się trwogi, zrozumiał że to zawsze słodkie stworzenie nie zdolne mu grozić, nie zdolne mu złorzeczyć, poznał to po oczach z takiem bezgranicznem przywiązaniem w niego wpatrzonych i zbudził się w nim człowiek jakiś obcy nie znany mu dotąd samemu, wyciągnął rękę brutalnie i za całą odpowiedź drzwi jej pokazał.

Pokazał drzwi kobiecie, która przez tyle lat była mu ukochaniem i miłością.

Kobiecie, która mu była uśmiechem życia i ponętą.

Kobiecie Polce wobec... niemki.

Ale Ira nie wstała i nie wyszła, szybkim jak myśl gestem otworzyła torebkę, na dnie której leżały pastylki trucizny — od czasu tego nieszczęsnego listu, zawsze je z sobą nosiła — bez chwili namysłu podniosła je do ust i połknęła. Słony smak w gardle pozostał i jak ci, którzy już wszystko z życiem skończyli, spokojnie rzekła:

— Więc to jest twoja zapłata za siedem lat miłości i szczęścia jakie ci dałam? to twoja zapłata? Odejdę, a właściwie odchodzę tam skąd się już nie wraca, tu w twoich oczach wzięłam truciznę.

I będący w pokoju dopiero wtedy zrozumieli.

Przyskoczył do niej Drzewiza uchwycił ją za ręce i jakimś niesamowitym głosem wołać począł:

— Jezus Marjo! Jezus Marjo! co pani, co pani zrobiła!

— Nikomu nic złego, nie miałam zamiaru się truć, ale nie przypuszczałam, że mię taki policzek spotka. Przecież ludzie się rozchodzą ale nie tak, nie w ten sposób. I za co mię, za co mię właściwie, nie zrobiłam przecież nic złego. Psa się nie porzuca tak brutalnie. Kocha inną,

odszedł odemnie, mógł jednak zostać mi przyjacielem. — Opuściła głowę i dwie wielkie łzy po twarzy jej pociekły. — Mogą i na niego przyjść jeszcze chwile goryczy pełne i cierpienia, a wtedy... nie znamy swego jutra, o, nie znamy swego jutra — powtarzała jakimś drewnianym głosem, jakby to zagadkowe jutro w tej przedśmiertnej godzinie odkryło przed nią rąbek swej tajemnicy i czarnemi barwami znaczyło jego przyszłe niepewne dnie szczęścia.

Nagle uczuła w sobie szarpnięcie, szalony kurcz bolu ją chwycił i piana na usta płynąć poczęła. Zebrała siły i w stronę drzwi drugiego pokoju iść poczęła, zawróciła jednak i ku niemce stojącej koło okna podeszła, zmierzyła ją od stóp do głowy, pogardy wejrzeniem i jedno słowo, jedno określenie którego wyszukać przedtem nie mogła, jak świst bicza przecięło ciszę pokoju.

— Canaille!

Potem chwyciły ją wymioty, nad miednicą się pochyliła, a że nogi gięły się od wielkiego osłabienia, chciała usiąść, obejrzała się za krzesłem i wtedy spostrzegła kufer, jego kufer wysunięty na środek pokoju, poczciwy kufer co tyle razy z nimi podróżował, więc jakimś bardzo miękkim kobiecym gestem głaskać go poczęła.

— Drogi, kochany kufereczek, już nie zobaczę cię nigdy.

Żegnała martwy przedmiot jakgdyby odczuwał jej dłoni serdeczną pieszczotę?

Znów szarpło nią bolem szalonym. Przymknęła oczy i pamiętała tylko, że ktoś ją podtrzymał, że jeszcze raz ujrzała tę najukochańszą, najdroższą twarz hrabiego Lisa gdy ją tak prowadzono, czy niesiono, bo tego nie pamięta, że jeszcze raz z bezbrzeżnym bolem rzekła do niego:

— Toś mi za moją miłość zapłacił!

Chciała mu jeszcze powiedzieć, że umiera z miłości dla niego, ale jej sił nie stało i straciła przytomność.

Gdy otworzyła oczy leżała na łóżku, stary żołnierz, sługa pogotowia ratunkowego podtrzymywał ją w ramio-

nach jak dziecko i łzy mu ciekły z oczu i na twarz Iry padały współczuciem brzemienne i żalem.

— Oj panienko, panienko, nie szkoda to życia, tylu ludzi umiera na wojnie a panienka sama...

Łkał nad nią stary wąsacz jak gdyby nad własnem dzieckiem. Może pochował kogoś bliskiego w takimże samym tragicznym wypadku, a może mu syn padł na dalekim froncie i serce starego ojca wrażliwe było na ból ludzki?

Więc Ira przytuliła głowę do tych twardych a współczujących rąk prostego żołnierza i zdawało jej się, że zasypia. Jak przez sen widziała jeszcze Drzewizę gdzieś w przejściu, gdy ją niesiono po schodach hotelowych do karetki, potem upadła jej ręka a nie miała siły jej podnieść, więc tę biedną wypieszczoną rączkę przycięli drzwiczkami karety, aż wreszcie ktoś się spostrzegł, poprawił, długi jednak czas czerwona pręga na niej pozostała. A potem, potem przyszły chwile przeogromnej ciszy konania, upragnionego spokoju kres, serce zamierało powolnie, kołatało coraz słabiej, coraz wolniej...

. . . .

A w hotelowym pokoju zakrywszy twarz dłonią siedział zgnębiony Drzewiza, w drugim zaś spazmowała niemka, którą pocieszał hr. Lis falą najserdeczniejszych słów i uspokojeń.

Przecież musiała spazmować z żalu a właściwie złości, wieczór nowo-roczny zapowiadał się bowiem tak świetnie.

Bilety do teatru, wesoła kolacyjka, tymczasem niespodziewana wizyta Iry wszystko popsuła, a co najważniejsze, że hrabia Henryk mimo spazmy, fochy i dąsy tego wieczoru do zabawy nie dał się namówić.

* *
*

Otworzyła oczy i rozejrzała się na pół przytomnie.

Biały czyściutki pokoik sanatorjum, sympatyczna twarz siostry pielęgniarki i nachylona głowa doktora.

— Boli?

Nie odpowiedziała.

— Boli? bardzo boli?

Znowu nie odpowiedziała, nie mogła zdać sobie sprawy czy ją co boli? Słyszy jęk ale nie wie, ona czy nie ona jęczy?

— Injection Coffein — słyszy głos doktora.

I wstrzykawka już zanurzyła żądło swe w bezwładne prawie ciało.

Myśl jej zaczyna pracować.

— Co ona tu robi w tym białym pokoju, co ona tu robi?

Nagle wszystko sobie przypomniała.

— Czy ja umrę? — pyta.

— Nie, nie — odpowiada siostra.

— Proszę mi powiedzieć prawdę, muszę wiedzieć, chcę się wyspowiadać.

Doktor nachylił się nad nią i zaczął uspokajać, że do rana może poczekać, że nie jest znów tak bardzo źle, że wprawdzie dużo, dużo trucizny połknęła ale może przecież jeszcze wyjdzie z tego.

Znowu ją chwyciły wymioty straszne, szarpiące wnętrza kleszczami bolów, znowu serce bić przestawało, zamierało powolnie życie, a ona w duszy powtarzała sobie uparcie, strasznie uparcie:

— Do rana żyć muszę, muszę się wyspowiadać.

Tak przeszła noc, długa, beznadziejna cierpieniem nie zmrużyła oczu ani ona, ani siostra ani też doktor, który czuwał przy łóżku chorej.

A gdy szary świt przez okno do pokoju zaglądnął, pielęgniarka odeszła ną chwilę i wróciwszy przyniosła białą serwetę, nakryła nią stolik, dwie świece w mosiężnych lichtarzach postawiła a w środku krzyż.

Prosty, żelazny krzyż z rozpiętym Chrystusem.

— Oto już koniec — pomyślała Ira.

I dusza jej do ramion krzyża tego przypadła. Z obsłonek śmierci, bolem i trudem życia umęczona, dusza jej najgłębszą pokorą ku krzyżowi temu przypadła. Tylko gdzieś z dna, z samego dna świadomości i miłości życia i przepotężnej urody wszechświata żalem drgnęło i tęsknotą:

— Że to już koniec!

Ale to była jedna sekunda słabości.

Bo cóż jej właściwie dało to życie. Co dało jej ukochanie tego życia? Zawody same i rozczarowania, połamało jej skrzydła ideałów, podeptało i w kałuże błota strąciło kwiaty uczuć, a tam, u stóp tego krzyża kończą się bole i cierpienia, tam zaczyna się prawdziwy spokój. U ramion boskich tych niema już ziemskich zmagań, idzie z nich tylko ukojenie.

I biedna umęczona dusza Iry na skrzydłach modlitewnej prośby tuli się do Bożej męki i z całem upragnieniem oczekuje ostatniego rozgrzeszenia.

Przyszedł ksiądz i zaczęła się spowiedź.

Kaja się biedna, umęczona dusza ludzka przed Panem, padają słowa żalu i skruchy pełne z prośbą o przebaczenie, bieży prośba gorąca skargi pełna i wiary, a sługa Boży modły swe z modłami umierającej łączy.

— Wierzysz w Boga?

— Wierzę.

— I w Trójcę przenajświętszą?

— Wierzę.

— Żałujesz za grzechy?

— Żałuję.

— Więc w imię tego Boga musisz mu przebaczyć.

— Komu?

— Temu dla którego się trułaś.

Kobieta podnosi bardzo ździwione i słodyczy pełne oczy.

— Ja mu nie mam nic do przebaczenia, ja go kocham.

Ksiądz patrzy na nią z podziwem.

— Jak często wielkie niepowszednie uczucia się marnują? — myśli.

— A teraz musisz jej przebaczyć.

— Komu?

— Kobiecie, która ci go zabrała.

— Nie

— Musisz.

— Nie mogę.

— W Imię Tego, który rozpięty na krzyżu prześladowcom swoim przebaczył.

A Ira prosi:

— Ojcze, On Bogiem był, a ja tylko człowiekiem jestem.

Ksiądz nachylił się nad nią, położył rękę na czole i mówił:

— Przebacz, o przebacz dziecko, żeby i tobie Bóg odpuścił.

Wtedy całą siłą woli nienawiść co żarła jej serce ku niemce zdławiła w sobie i rzekła:

— W Imię Chrystusa przebaczam!

Ksiądz podniósł rękę z błogosławieństwem, odmówił ostatnie słowa modlitwy, dał do ucałowania krzyż i poszedł. A Irze ciężar spadł z serca, uczuła taką błogość, taki spokój, jakby już wyzbyła się ciężaru życia, jakby ujrzała przed sobą wrota raju otwarte.

Wyczerpana zmęczeniem głowa opadła na poduszki, słowa modlitwy szeptem coraz cichszym padały w przestrzeń, aż wreszcie rzeczywistość zaczęła blednąć, jakieś marzenia oplątywać ją poczęły, marzenia na pół ziemskie a na pół niebieskie.

Zaszumiał las nad białą polną drogą, zakołysały się kłosy zbóż ciężarne upstrzone krasnymi makami i szafirem chabrów, zawiało wonią macierzanki z przydrożnej miedzy. Z boku Boża Męka a przy niej cmentarzyk wiejski, prosty nie ogrodzony, a na nim mogiłka Iry. Trawy na niej

i

uderza, wyszka kosmata liljowymi płatkami sypie i rdzawy szczawik kiwa poważnie strzępiatą kitką, a Ira spi sobie spokojnie pod upstrzoną polnemi kwiatkami mogiłką, na ziemi ojczystej spı sobie jak wielka pani u siebie, na swojej ziemi, a nie w cudzym niemieckim kraju.

— Injection Coffein.

Otrzeźwiała od bolu.

To znowu zdaje jej się, że siedzi przytulona do ramienia Henryka, że czuje uścisk jego drogich kochanych ramion. Że pędzą gdzieś po białej szerokiej drodze, białe puchy okwiecia sypią im na głowy płatki swe wonne, że już nie jadą ale płyną powietrzem niesieni, oderwani od ziemi, płyną tak razem w zaświaty ku gwiazdom.

— Injection Coffein! — i znów siłą medyczną powołano ją do życia.

I tak było dni cztery, a piątego stary doktór ręce z zadowolenia zatarł i rzekł:

— W mej praktyce lekarskiej jest pani dumą moją i chlubą. Niebezpieczeństwo minęło, żyć pani będzie. Do wczoraj była pani jeszcze więcej na tamtym niż na tym świecie, ale dziś dzięki Bogu, najgorsze minęło.

A jej po wynędzniałej chorobą i wychudzonej buzi łzy się rozsnuły, łzy żalu i goryczy pełne.

— Poco, pocoście mię do życia wracali, tak chciałam, tak bardzo chciałam odejść!.....

. . . .

I nadszedł dzień, gdy sanatorjum opuścić trzeba było. Ranek był dżdżysty, szary, brudny, przymrozki sfolgowały i przepastne błoto pokryło ulice. Ira osłabiona ledwo utrzymać się na nogach mogąca, wyszła z domu zdrowia.

Portjer otworzył jej drzwi, podała mu napiwek i na ulicy przystanęła.

— Życie!

Przed nią wrzało życie wielkiego Wiednia, jechały tramwaje, warczały automobile, turkotały fiakry, snuli się przechodnie i wrzało potęgą swą życie.

Drżąca, osłabiona postać kobiety o mur kamienicy się oparła i z piersi jej wydarł się jęk beznadziejny, żalu szalonego pełen.

U wrót lecznicy nie czekał na nią nikt.

Stała tak długo, długo, wreszcie przeżegnała się...... i poszła w to życie.

* * *

Henryk hrabia Lis ciężką niemocą dotknięty skazany na całe życie w wózku. Smutne, samotne życie człowieka, około którego niema nikogo. Żona się bawi więc nie ma czasu zajmować się „starym niedołęgą“, jak go poufale nazywa.

Hr. Henryk obezwładniony kalectwem, całe dnie przepędza w swym smutnym pokoju, zdany na łaskę lub niełaskę służby. Czasem go ktoś z dawnych znajomych odwiedzi, przeważnie jednak sam, zapomniany, biedny, gdyż niemka wszystko wydarła od niego, wszystko co się wziąć dało. Biżuterje, srebra rodzinne, pieniądze, tak że mu dziś na papierosy wydzielają. Niegdyś elegancki człowiek, przywykły do wykwintu, nie ma obecnie sobie za co wody kolońskiej kupić.

Biedny hr. Lis.

Bankrut moralny, fizyczny i materjalny.

Tam w kraju wre gorączkowa praca około odrodzenia. Tam w kraju biją serca radosnym hymnem zmartwychwstania. Kto może chwyta za pług i idzie siew zbożnej pracy powołanego do życia narodu.

A tylko hr. Lis zdala od kraju, zdala od swoich. Zaprzedał niemce serce obywatela Polaka, zaprzedał niemce

honor uczciwego człowieka, zaprzedał niemce poryw szlachetny serca, zaprzedał samego siebie.

Biedny hr. Lis.

Czasem mu się jak sen przypomina dawne życie i wtedy łzy mu z oczu płyną.

A niemka mówi z pogardą:

— Du alter Trottel!

A czasem bardzo cierpi fizycznie, zagryza wargi do krwi aby nie jęknąć, bo „frau Gräfin“ nie znosi tego i zaraz się złości.

A on się boi złości „frau Gräfin“ bo wtedy na cały dzień wychodzi i służba zapomina o obiedzie dla pana hrabiego, a to bardzo nieprzyjemne uczucie gdy kto jest głodny i jeść mu nie dadzą.

Jakieś proszki zapisał doktor na bole, zdaje się morfina, to uspokaja trochę, więc wyprasza czasami u służącego zamiast jednego dwa i wtedy cierpienia łagodnieją. Pod wieczór w pokoju mrok, nie spieszno nikomu odkręcić światło więc hrabia przytulił się do poręczy przyjaciela-fotelu i niby drzemie, chociaż nie, nie drzemie, rozmyśla.

Rozmyśla, że gdzieś kiedyś zawsze światełko było w pokoju, prawda we Lwowie, w mieszkanku świeciła się zawsze lampeczka przed obrazem Częstochowskiej zawieszona i mały rubinowy płomyk lśnił w ciemni nocy jak gdyby mówił:

— Śpijcie spokojnie, ja czuwam.

I czuwał. Tam było szczęście, tam spokojne sny ludzie mieli, a tu niemka ma wychowanie trzeźwe, dalekie polskim sentymentom i naiwności chłopskiej, jak sama z przekąsem mówi.

Nagle wzrok jego przykuwa do siebie postać kobieca siedząca naprzeciw na krześle.

— Kto to? pyta hr. Lis.

— To ja.

Głos słodki znany, nie słyszany dawno, a tak pamiętny.

— Kto?

— Ja. Ira.

— Ira! — i ogrom szczęścia zalewa mu serce.

— Tak, to ja! Przyszłam cię odwiedzić.

— Ira! Ira! — i całe minione szczęście życia staje przed nim. Zapomina o niemce, jasne wspomnienia niepokalanej przeszłości człowieka czynu powracają. Z tą kobietą wraca mu wszystko dobre, jasne, świetlane. Ona mu była podporą w ciężkich chwilach, dźwignią w słabości godzinach, uśmiechem w dniach wypoczynku.

— Ira! Ira!

Jej blada buzia uśmiecha się do niego słodko, oczy z ogromnem przywiązaniem wpatrzone w niego, te oczy błękitne, które mu zawsze mówiły:

— Tyś dla mnie wszystkiem.

Wyciąga ku niemu ramiona, szalem otula chore nogi delikatnie, pieściwie, zapałki z ziemi podnosi, bo sam nie może się po nie schylić i zaczyna gospodarować.

Patrz, przyniosłam ci kwiaty, fijołki, jakie cudne takie jak u nas zawsze w mieszkanku były.

— Jakie cudne, jak w mieszkanku. Pamiętam...

Kładzie przy nim wiązankę aż dusi zapach, taki silny.

— Pojedziemy do Lwowa to znów tam będą.

Ale Ira smutno mówi:

— Nie, bo już niema mieszkanka.

— Niema?

— Niema, nie miałam czem zapłacić, musiałam się wyprowadzić.

A jemu coś jakby łuna na twarzy się odbiła.

— Ale mebelki zostały.

— Nie, drogi, także sprzedane, u ludzi są u różnych obcych ludzi.

— A biurko po Napoleonie z zegarem i muzyką?

— Muzeum zakupiło.

Hr. Lis zaczyna płakać.

— Nie płacz, nie płacz ukochany. Przyszłam żeby ci było dobrze, a nie żebyś się smucił.

— A czemu ty ciągle ze mną nie jesteś?

— Ty wiesz dlaczego.

— Że niemka jest, niemki po całych dniach niema. Zostań ze mną na zawsze — błaga.

— Nie, nie, nie mogę — odpowiada mu kobieta.

— Kiedy ja proszę, mnie dobrze gdy ty jesteś, mię wtedy nic nie boli, ja nie chcę żebyś mię opuszczała, I służba mi nie dokucza i tak mi dobrze.

I zaczynają dawne wspomnienia omawiać.

Jak na pozytywce grana cudna muzyka przeszłości.

— Pamiętasz nasze wycieczki na Węgry?

-- Boże, jakie to były cudne czasy — mówi hrabia.

— I Drzewiza z nami jeździł, tak się roztkliwiał nad cygańską muzyką.

— A sprytni cyganie zawsze mu grali ulubioną melodję o księciu Bobie.

-- A gdzie Drzewiza obecnie?

— W kraju, ożenił się, wrócił na zagon ojczysty i gospodaruje.

— Szkoda, że niema go z nami. Niejedno się z nim przeżyło a to wiąże ludzi.

— Tak, to wiąże ludzi.

— Dobre i złe chwile.

— Powiedz raczej wesołe i smutne chwile. Umarł ojciec Drzewizy, później choroba i śmierć twej matki. Ot, przeżyło się wspólnie nie jedno, aleśmy się wzajemnie wspomagali, jeden drugiego na duchu podnosił, jeden drugiemu dodawał otuchy. Mieliśmy smutki i radości, ale złych chwil nie było nigdy, bo widzisz smutek może przyjść z nieszczęścia ale złe chwile ze złego sumienia przychodzą, a myśmy sumienia mieli czyste.

Hr. Lis spuścił głowę na piersi.

Zamyślili się oboje i była cisza w pokoju.

— Jak to tam cudnie musi być teraz na wsi? — podjęła znów temat Ira.

— Wiosna?

— Tak wiosna. Ty tego nie czujesz gdyż wysokie mury kamienic zasłaniają ci widok szeroki, ale tam na wsi na Podolu cudowna wiosna. Zachód — poprzez nagie jeszcze gałęzie drzew przeświecają różowe smugi na niebie. Cisza w przestworzu, spokojny ciepły przedwieczór marcowego dnia, przesycony woniami budzącej się do życia natury, cisza przeogromna w jaką to się na słonki poluje...

— Na słonki poluje — powtórzył.

— Tam u nas, na Podolu.

— Tam u nas, na Podolu — pierś mu westchnieniem wezbrała.

— Gdzie niegdzie plamka chmurki ciemniejszej. Wieczorna gwiazda jak latarenka lśni, wieczorna gwiazda umęczonym ludziom przyświeca, nadzieje budzi.

— Nadzieje budzi — i znów westchnienie.

— Nad wioskami unoszą się z kominów szare dymy brzeziną wonne i jałowcem. Ziemia pachnie świeżością a człowiek czuje się wtedy jak ta rodzona ziemia młodym i nadziei pełnym. Bazie na wiąziach wierzbiny się srebrzą, pamiętasz, zawsześ przywoził z drogi wiązie całe a myśmy obchodzili pierwsze święto wiosny. Czy ty pamiętasz?

— O tak!

— Czy ty pamiętasz? — ciągnie dalej — bo myśmy obchodzili później i inne święta wiosny i święto tarniny, za której kwieciem ja tak przepadałam i święto bzów, bo od tej pory jak serce moje umarło...

— Jakto umarło?

— Od tego listu, który dostałam w Innsbrucku żeś się ożenił, kwiaty przestały dla mnie istnieć.

Jemu łzami nabrzmiały słowa.

— O Ira, Ira, jak ja skrzywdziłem ciebie!

Oparł czoło na dłoni i przez palce łzy mu ciekły.

łzy gorzkie i przeświadczenia pełne, że już nic na świecie tej wielkiej krzywdy cofnąć lub naprawić nie jest w stanie.

— O Ira, Ira! ukochana moja!

— Co jedyny?

— Przysuń się bliżej, oprzyj twą główkę o moje ramię, pamiętasz, jak w Podzamczu?

— Tylko kominka niema i płonącego nań łuczywa.

— A co z Podzamczem słychać?

— Twój brat gospodaruje, stare gniazdo naprawia, dla nowego pokolenia stroi się zamek. Tylko stara altanka w parku runęła.

— Runęła?

— Tak, postawią nową. Nie będzie w niej tradycji ale będzie siła.

— A co jeszcze, co jeszcze, mów Ira, ze mną nikt tak dawno nie mówił.

— Ot, wkrótce bociany przylecą, kochane ptaki, czasem już w połowie marca powracają. Ja je strasznie lubię mimo że szkodę robią w polu. Stanie sobie taki bociek na jednej nodze i medytuje:

— Żabkę czy młodego zajączka?

Hrabia Lis się uśmiechnął i ten uśmiech jak jasny promień słońca twarz mu ozłocił, bo tak dawno serdecznie się nie śmiał. Tak dawno, tak dawno chyba od czasu Iry, bo później cień mu jakiś opadł na duszę i tylko usta się śmiały, w głębi nie było wesołości.

— No i co, i co wybierzę?

— Jedno i drugie, bociek filozof. Sam połknie jak nic żabkę a do gniazda na wspólną ucztę przyniesie zajączka. A potem złote jaskry na polach zakwitną.

— Złote jaskry.

— A później białymi puchami okryją się sady, rozkwiecą się ogrody i cud nad cuda maj spłynie na ziemię. Zadźwięczą sygnaturki kościołów na Ave, bo miesiąc to najpiękniejszy, miesiąc to naszej królowej, Bożej Matki

miesiąc. Cały świat, widzisz, o wiośnie jest piękny, ale rodzinna ziemia najpiękniejsza.

I znów westchnienie pełne żalu i troski.

Przypomniał ją sobie, tę rodzoną od której uciekł. Przypomniał trud i pracę, którą tam włożył i z odległych zagonów jakby powiała ku niemu w dalekim szumie wiatru świeżość traw, miodne zapachy ziół i żywiczna woń jodliny.

Serce ścisnął wielki ból, łkanie wtrząsnęło piersią.

— Zakwitną znowu bzy i pigwy japońskie, słowik zakwili miłośnie, tylko nas tam już nie będzie.

— Tylko nas tam już nie będzie, — powtórzył echem. Przymknął powieki ale grymas wielkiego cierpienia na twarzy pozostał.

— Daj mi swe rączki, ukochane łapusie, daj, tu bliżej, chcę je popieścić.

Wyciągnęła ku niemu dłonie, na czoło mu je położyła i głaskała uspokajającą pieszczotą. On całą siłą chorej wyobraźni tulił się do tych rąk miękkich, do niewidzialnego ich dotknięcia i zwolna chylił umęczoną, biedną głowę, na którą spływał boski dar sen, ukojenie chwilowe zbolałego ciała i udręczonej duszy, pocieszyciel.

A gdy wśród nocy fizycznem cierpieniem zbudzony otwierał oczy, wołał rozpacznie Iry.

— Niema i nie było jej tutaj — odpowiadała bezlitośnie świadomość.

Czasem wyciągał rękę i szukał kwiatów przez nią przyniesionych.

Ale nie znajdywał nigdy.

Przy nim nie było nikogo, szal z kolan zsunął się na ziemię i te biedne chore nogi marzły, drętwiały z zimna. Dzwonił, ale na to nikt nie reagował, nie przyszedł nikt. Chciał zapalić światło ale dosięgnąć daleko nie mógł ręką. Rozpacz dławiła mu gardło, rozpiął kołnierz koszuli i z początku bezwiednie może zaczął szukać na piersi, bo przypomniał sobie, że miał łańcuszek z Madonną po matce, a Ira

go uprosiła, aby go zawsze nosił. Ale łańcuszek niemka zabrała, ładny był wenecki, a medaljonik gdzieś przepadł.

Szkoda, tak dawno się nie modlił.

Więc zaczął płakać cicho a rzewnie jak dziecko i skarżyć się tej.....

Którą ongi, chwilową namiętnością uniesiony, rzucił bezlitośnie, nieludzko.

Skarżył się tej, której serce na ukrzyżowanie miłosne wydał.

Skarżył się tej, którą na ciężką życia niedolę wypędził z raju szczęścia.

Skarżył się tej, która jedna jedyna miała dla niego zawsze słowa rozgrzeszenia i miłość przeogromną.

Ale skarg tych w nocnej ciszy nie słyszał nikt, chyba Bóg.

Biedny hrabia Lis.

* * *

Przyjechali do Podzamcza aktorzy, od stacji dobry kawał drogi, ale oni biedacy idą piechotą. Mróz wysrebrzył drogę aż skrzypie pod nogami, ale oni idą raźnie, chuchają w zziębnięte ręce, podśpiewują czasem, czasem ktoś z buteleczki „sznapsa" łyknie na rozgrzewkę.

Ot, wesołe dzieci muzy.

Banda cyganów.

A dalej wóz w jednego konia zaprzężony, ciężko obładowany, ciągnie dekoracje, kostjumy, kufry i tobołki wędrownej trupy. Przy wozie chuderlawy żydek obdarty, sprytny, z jakiemś lekceważeniem spogląda na całą tę bandę, ale i sympatją zarazem i w myśli filozofuje:

— Nu, da się co zarobić to będzie, nie da się zarobić to nie będzie.

Przyjechali na święta Bożego Narodzenia, jutro z powodu wigilji nie grają, zato pojutrze dwa przedstawienia, po obiedzie „małpa Żoko" a wieczorem „Hamlet". Reper-

tuar urozmaicony. Bieda aż piszczy, zimno, mimo to za składkowe pieniądze w zajezdnym domu, ucztę sobie wyprawią w ten wolny wieczór i choinę postawią, z bliskiego lasu kto przyniesie, rodzinne życie się przypomni.

Rano tylko zajęcia będzie wiele. Ustawić kulisy, potem próba i sprzedawanie biletów, aktorki muszą się tem zająć i roznosić je po domach, kobieta jakoś łatwiej wszędzie się wciśnie i często naddatek dostanie. Jedynie stara dramatyczna z tego zwolniona, silny artretyzm powykręcał jej nogi, więc zajmie się wigilijną wieczerzą, pójdzie na targ po rybę, chleb i mak, bo mak przecież być musi.

Na drugi dzień wcześnie już wre robota. Zimno, nie ogrzane pokoje, szpary w oknach, w miednicy woda zamarznięta ale nadzieja w sercach, często płonna nadzieja, że może jednak tu się powiedzie i trochę floty przypłynie do pustych sakw wędrownych aktorów.

W małym, nędznym, zimnym pokoiku ubiera się Ira. Skromna ciemna sukienka, wiatrem podszyty żakiecik, czapeczka czarna i mocno wycerowane rękawiczki. Ma iść do zamku, tam ją wysyłają z biletami.

— „Hrabina“ niech idzie do zamku — ktoś powiedział złośliwie.

I „hrabina“ idzie.

Nie lubią jej w towarzystwie, nie nadaje się do koleżeńskiego życia. Jest zawsze smutna, daleka im wychowaniem i wykształceniem, niedostępna i ta jej wyższość odpycha ich od niej.

Jest jak orzeł między wróble zagnany. To też coś niecoś wiedząc z jej przeszłości złośliwie nazywają „hrabiną“.

Ona z jakimś przeogromnym spokojem znosi drwinki.

Bo wróciła do teatru, cóż miała robić? Porzucił ją, odebrał zapis, klejnoty, nie miała nic, musiała zwinąć mieszkanie, sprzedać meble.

— Zrób prezent koleżankom z kostjumów i peruk, tobie nie będą potrzebne nigdy — mówił jej często hr. Lis.

Więc chętnie porozdawała co było, nie przypuszczając, że może przyjść chwila, iż jej znów przydać się mogą. A gdy wróciła do teatru, po siedmiu latach, w dużych teatrach stosunki się zmieniły, ludzie byli inni, nieznani, nikt nie dopomógł, i nikt nie przemówił, więc żeby nie umrzeć z głodu — na prowincję.

Ot, ciężka niedola.

Ubiera się więc pośpiesznie, bo do zamku od miasteczka daleko i pod górę iść trzeba, a mróz straszny, wprawdzie słońce świeci ale dzień krótki, zaraz po południu się ściemnia. Zeszła z próby po dwunastej, wypiła szklankę herbaty, kawałkiem chleba zagryzła i idzie.

— Cudowny dzień dla tych, którzy ciepłe futerka mają i wysokie buciki — myśli Ira.

Spojrzała na swoje wycięte pantofelki.

— Dobrze, że i takie mam jeszcze, mogłoby być gorzej.

Stanęła na ulicy niezdecydowana, którą stroną iść bliżej, główną ulicą czy bokiem? Jakiś chłopiec biegł w pobliżu, więc go się grzecznie spytała:

— Proszę mi powiedzieć którędy najkrócej do zamku?

— Pod górę prosto, potem przy figurze skręcić do parku.

— Dziękuję — odrzekła i poszła.

Miasteczko było małe więc niedługo znalazła się na przedmieściu, a kiedy minęła ostatnie domki olśnił ją blask śnieżny. Jak prześcieradło wyglądała ziemia, biało, biało i biało, tylko iskry mrozu lśniły w promieniach słońca. Mróz wyszklił i ugwieździł skarbami brylantowych blasków przestrzeń całą. Na horyzoncie czerniało stado wron jak małe ruchome punkciki, jeszcze cieniem sinawym odrzynał się od dołu las parkowy i jamy okien w zamku ciemniejszymi kwadratami widniały.

I nagle Ira stanęła.

— Zamek, przypomniało jej się — zamek, ona tam była.

Tchu jej w piersiach zabrakło, coś ścisnęło gardło, nadludzki ból ją chwycił.

Nie piechotą szła wtedy i nie w zimowy mroźny dzień, ale wiosenną porą z nim przyjechała, z nim, z Henrykiem. W godzinach szczęścia to było.

Podniosła głowę i jak w świętość jaką wpatrzyła się w cel swej wędrówki.

— Brat hr. Lisa tam mieszka obecnie — myśli. — Ocalało hrabiowskie gniazdo nawale wojennej. Ile to pokoleń wypiastował stary zamek, ile to burz po nim przeszło, a jednak stary chram stoi wiecznie i nad okolicą króluje. Zawsze piękny, zawsze potężny, czy srogą zimą ubielony czy okwiecony wiosną.

Idzie lekko, w skroniach krew bije jak młotem, buzia się zaróżowiła, oczy błyszczą gorączką. W ręce jej tylko zimno, ale nie ma mufki więc tylko chucha w nie, lub palcami przebiera jakby na fortepianie grała, gdyż kostnieją od mrozu, a musi uważnie trzymać torebkę z biletami żeby nie zgubić.

Doszła do parku, jeszcze większy chłód powiał, między drzewami cień, słońce nie grzeje. Szeroka droga, ach droga szeroka to ta, to ta którą wjeżdżała kiedyś, pamięta.

Pokłoniła się drzewom z uśmiechem jakimś bardzo bolesnym i rzekła:

— Pamiętacie, pamiętacie wy mię odwieczne drzewa? to ja, to ja, Ira.

Ale park stoi cichy, nieruchomy, dostojny. Co go może obchodzić nikła postać kobiety idącej pieszo?

Tu zajeżdżają zwykle strojne powozy, lśniące karety, warczące automobile lub buńczuczne sanie, ale drobna figurka kobieca czemże jest na białej taśmie drogi? Małym punktem, atomem nieledwie. Przez siatkę drzew, trochę bliżej zamku rzadszych, ujrzała zabudowania stajenne i bujne dymy co z kominów się snuły pod obłoki. Chciała przyspieszyć kroku ale uczuła nagle wielkie osłabienie w sobie, szła więc wolno przemarznięta do szpiku kości,

chociaż na twarz jej buchały płomienie. Wreszcie ujrzała otwartą przestrzeń dziedzińca, ścieżki żółtym piaskiem osypane starannie i stanęła namyślając się w którą stronę zawrócić. Głównemi drzwiami jak ongi nie miała prawa dziś wchodzić, a do kuchni nie znała kierunku. Zaczęła się kierować instynktem, obchodzić dom dookoła, natrafiła na jakieś drzwi, weszła, tam już i głosy było słychać i stukania i woń potraw głaskała podniebienie obiecującą nadzieją dobrego jadła. Przez chwilę ślinka jej do ust poszła, uczuła bowiem głód i osłabienie coraz większe, przemogła się jednak i całą siłą trzymając poręczy, na pierwsze piątro, gdzie były mieszkalne pokoje i pańskie kuchnie, iść poczęła.

-- A czego? — odezwał się kucharz, który na stolnicy wałki z ciasta układał obsypując je suto siekanymi migdałami.

— Teatr, ja z teatru, z biletami — jąkała Ira. Czuła że traci świadomość, że jej jakieś ciemne płatki przed oczyma latać poczynają, czy z ciepła które ją nagle owiało, czy ze wzruszenia, więc na ławie stojącej przysiadła, opuściła głowę i łzy, dwie wielkie łzy jak niema skarga po twarzy pociekły.

— Nastkaa! Naastusia! — słyszała jeszcze jakby przez sen. Uczuła że ją ktoś podtrzymuje, potem coś piła, wódkę czy wino, nie wie sama i zaraz jej się przecierać w myśli poczęło, świadomość wracać i otworzyła oczy.

Siedziała w garderobie obok kuchni na wielkim starym fotelu, przed nią w dużym niebieskim fartuchu krzątała się dziewczyna, pomocnica zapewne kucharza, a na ławie obok stała herbata z rumem i kawał ciasta. Opodal zaś w granatowej kurtce z liberyjnymi guzikami stary służący przypatrywał się ciekawie, przy nim zaś stos srebra i porzucona ircha, którą widocznie przecierał je do czystości.

— No, jakże, lepiej już pannie? — zapytał.

Kiwnęła głową.

— Bo jakże można na takie zimno w pantoflach i takim żakieciku chodzić? Zima aż trzeszczy, mróz siarczysty, kożuch nie dostateczny, a cóż dopiero tak?

Z otwartych drzwi kuchni od czasu do czasu zaglądały zaciekawione twarze służby.

— No, niech panna pije herbatę póki gorąca.

Znowu skinęła głową i wyciągnęła rękę, która jej tak dygotała, że nie mogła utrzymać szklanki, co widząc stary służący rzekł:

— Nie tak to łatwo odtajać, prawda? Panna z miasteczka z teatrem?

— Tak.

— Proszę poczekać ja dam wina. — Poszedł w bok do swej komórki, zdaje się, i wrócił z kieliszkiem napełnionym złotym płynem.

— Niech panna pije, to dobre silne wino jeszcze po starej hrabinie.

A Ira powtórzyła.

— Po starej hrabinie.

Wypiła i cicho rzekła:

— Dziękuję.

Nagle przypomniała sobie, że tę twarz zna, pamięta. To stary Jędrzej, kamerdyner matki Henryka, który ją ongi witał u drzwi głównego przedsionka w niskim ukłonie.

— No, a teraz herbatę póki gorąca.

Znowu kiwnęła głową.

= Co będziecie jutro grać? — zapytał. — Jaśnie państwa niema, pojechali do Lwowa na święta, ale my przyjdziemy.

Ira wyliczyła repertuar.

— Panna ma bilety?

Wyciągnęła z torebki ponumerowane kartki.

Dla mnie proszę dwa.

Oderwała dwa.

— A ile się należy?

— Dwie korony.

Wyjął z kieszeni portmonetkę i położył żądaną kwotę i czterdzieści halerzy naddatku.

Ira zapłoniła się mocno, dwie korony wsunęła do torebki a czterdzieści halerzy zostawiła na stole.

— To dla panny, proszę sobie wziąć.

Lecz ona jakimś dziwnie stanowczym głosem odrzekła:

— Dziękuję Jędrzejowi — i pieniędzy nie ruszyła.

— Skądże panna wie jak mi na imię?

— Wiem

— Pewno w miasteczku powiedzieli.

Znów była cisza w pokoju przerywana wybuchami śmiechu z kuchni i tykotaniem zegara stojącego w kącie. Nagle wzrok jej padł na kamienną posadzkę, gdzie powybijane półkola się znaczyły.

— Ślady podków końskich, gdy stara hrabina jeździła.

— I to panna wie? — usta ze zdziwienia otworzył.

— Wiem.

— Skąd, od kogo?

Pominęła milczeniem odpowiedź i dalej pytała:

— A wielkie lustra w złoconym salonie zostały, nie potłukli ich podczas wojny?

Teraz on ze zdziwienia oniemiał.

— A kamienna Matka Boska, którą stara hrabina tak lubiła?

— Matka Boska dzięki Bogu została, nie śmieli jej tknąć, nie śmieli zniszczyć świętości, połamali i poniszczyl tylko meble i drobiazgi.

— A marmurowe baranie głowy nad kominkiem w sali czy ocalały?

— Ocalały, ocalały!

— Dobrze że stara hrabina nie doczekała smutnych czasów.

— Oj dobrze, dobrze. Ze śmiercią jej tyle się zmieniło. Poszła za nią synowa, żona hr. Henryka, potem myśleliśmy, że się tu ożeni, miał już pono narzeczoną, przywoził ją tu nawet do Podzamcza, ładne to było, miłe, ale przyszła wojna pojechał aż na włoski gdzieś front pono, wpadł w ręce niemki i ot... — nie dokończył, machnął tylko znacząco ręką.

Coś jakby łza w oczach mu zalśniła, więc wstał i spiesznie ku drzwiom w głąb mieszkania prowadzącym podążył. Otworzył je na rozcierz i zajrzał. W amfiladzie wspaniałych komnat zalśniły tafle jak lustro starannie wywoskowanej posadzki. Po przez jadalnię, pobiegły oczy Iry w złocony salon, a później w drugi, gdzie stał zwykle ulubiony fotel hrabiny i komin z gorejącem zawsze łuczywem, od którego i teraz ciepłe różowe blaski ognia migały w odbiciach błyszczącego parkietu.

— Wiecznie płonący Znicz domowego ogniska — pomyślała.

I cała fala wspomnień odżyła w niej gwałtowną falą.

Tam, przed tym kominkiem siedziała w ostatni z nim tu wieczór; tam oparłszy głowę na jego ramieniu słuchali miłosnej pieśni słowików i pili wonie bzów i jaśminów okwitających w parku; tam tulił jej dłonie w gorącej serca pieszczocie i szeptał upojeń pełne słowa:

— Moja, ty moja, na życie całe ukochana!

A potem wojna, rozłączenie i te straszne słowa listu, które złamały jej życie.

— Wielkie głupstwo, ale musiałem się ożenić".

Objęło ją zimno od stóp do głowy, zimno moralnego cierpienia. Zaczęła zapinać żakiecik, naciągać rękawiczki, zbierać ku wyjściu. Słońce uciekło za las, za górę, szarzeć już poczynało trochę, jakaś czerwona smuga na niebie się kładła, znak jeszcze tęższego mrozu. Spojrzała raz jeszcze w stronę drzwi prowadzących w głąb mieszkania, jakby je wzrokiem przebić chciała i pożegnać raz ostatni widok pełen słodkich wspomnień. Ale drzwi były zamknięte a stary

kamerdyner zginął znów w bocznym pokoiku, skąd jednak wyszedł prędko niosąc na starej srebrnej tacy butelkę z winem.

— Proszę niech pani się jeszcze napije, zimno.

Mówił to grzecznie, prawie pokornie i podawał jej kieliszek gestem powagi pełnym i służbistości.

Ona wypiła i kładąc swą małą drobną rączkę na jego ramię, jak niegdyś przy wsiadaniu do automobilu rzekła:

— Dziękuję Jędrzejowi.

I poufałość ta już go teraz wcale nie dziwiła.

Wyszła. Olśniła ją znów biel śnieżna, owionął mróz mimo że wino krew trochę rozgrzało. Wracała drugą stroną około zabudowań folwarcznych. Obejrzała się jeszcze na zamek jakby go pożegnać chciała, obejrzała się na stary lamus ziejący jamami okien i schodzić zaczęła wolno, wolniutko, bo ślizgawica była ogromna. Za każdem pochyleniem lub poślizgnięciem dzwoniły w torebce pieniądze za bilety, bo prawie cała służba je sobie kupiła. Szarzało zwolna, a spory kawał drogi leżał jeszcze przed nią, szła i szła, przy gorzelni zakręciła, tam snuło się trochę ludzi, na boku zostawiła obozy, dalej mostek przez rów czy dużą strugę rzucony, potem płotu kawałek, wreszcie zarysował się mur kościółka i cmentarz.

— Tu leży hrabina matka — pomyślała.

I bezwiednie prawie ku furtce kierować się poczęła.

Na mogiłkach cienie przedwieczorne się kładły, ale Iry to nie odstraszyło. Zaczęła chodzić i szukać grobu hrabiny, znalazła go i z wielką ulgą, niby wędrowiec u celu podróży przyklęknęła na kamieniu. Zaczęła się modlić, a modlitwa ta szła gdzieś z serca, bez słów, wyrażeń, ale jakiejś zaświatowej mocy i przeogromnej wiary, której tak dawno nie czuła w sobie. Znowu ją chwyciło zimno, więc przysiadła a raczej wtuliła się w załom niskiego muru grobowca i zapatrzyła w niebo. Na widnokręgu lśniła gwiazda jedna jedyna, blada jeszcze ale już widoczna, może

cudowna gwiazda betleemska. Dołem zaś dalej w okienkach domów Podzamcza światła się zapalać zaczęły coraz liczniej, liczniej, nad domami dymy się unosiły stalowe, gęste i zlewały powolnie z szarzyzną otoczenia.

Przypomniało się Irze, że to wigilijny wieczór, święty wieczór, a jeszcze w Polsce wielką tradycją powagi uświęcony. Tyle wspomnień z dnia tego....... opłatek...... Boże drzewko..... upominki Henryka..... a dziś, a dziś? Każdy ma gdzieś kogoś, gorące serce lub ciepłe przyjazne dłonie a tylko ona nikogo, na całym świecie nikogo.

— Jakto nikogo?

Podniosła głowę, przed nią stała stara hrabina tak śliczna jak na portrecie, tylko nie tak jak na portrecie dumna.

— Jakto nikogo? — mówiła słodkim głosem. — A ja?

— Pani? pani? pani hrabina?

— O, nie mów do mnie pani ale mów matko.

— Matko?

— Tak, matko. Matką bowiem ci jestem boś ukochała syna mego Henryka tak bardzo, a kto jego kocha jest mojem dzieckiem.

— Matko! — szepnęła Ira i chciała ją w rękę pocałować, ale kobieta otoczyła ją ramionami i tulić do siebie poczęła.

— Ira! Ira!

A przed nią niebo szczęścia się otworzyło, że nareszcie nie jest tak strasznie sama.

Stara hrabina położyła jej rękę na czoło i rzekła:

— Chcesz ty pójść ze mną, chcesz?

— Gdzie? — zapytała.

— Do zamku.

— Do zamku? — dziwiła się Ira.

— Tak, do zamku i Henryk tam do nas przyjdzie.

— Henryk! — i falą szczęścia zabiło jej serce.

— Henryk, Henryk przyjdzie! — i nagle jak dziecko zaczęła pytać:

— A choina będzie?

— A jakże.

— Ubrana?

— Ubrana.

— Myśmy zawsze w mieszkanku mieli choinę, tyle się na niej wieszało świecidełek. Henryk bardzo lubił Boże drzewko.

— Więc chodźmy — wzięła ją za rękę.

Ira podniosła się i iść zaczęły.

. . . .

Zasiadają ludzie do wigilijnych stołów, białe opłatki w rękach przełamują, zapominają na chwilę o troskach życia i codziennych kłopotach.

W małej żydowskiej restauracyjce niecierpliwie aktorzy, zgłodzeni po całodziennej pracy, oczekują Iry, która nie wraca, nie wraca.

— Może „hrabinę“ zaproszono do hrabiowskiego stołu? — ktoś złośliwie mówi.

— Dajcie pokój przycinkom, bo ona bardzo nieszczęśliwa — ktoś broni.

Wreszcie, nie doczekawszy, zasiadają sami.

. . . .

A dusza Iry idzie po gwiazdami nabijanej drodze do zamku.

Prowadzi ją hrabina matka.

U ramion skrzydła jej rosną i spokój szczęścia zalewa serce, bo wreszcie uczuła się wyzwoloną ze wszystkich bolów, ze wszystkich krzywd ludzkich.

Uczuła się wolną od cierpień i zmagań życiowych.

Uczuła się wolną, daleką niedoli swojego życia.

I słyszy słodkie słowa skierowane do niej:

— Chodź ze mną, córko moja, chodź ze mną!

PSIE ŻYCIE

Koleżankom, które wspólnie ze mną pracowały na scenie krakowskiej, pracę tę poświęcam.

Bronisława Jeremi.

„O innym lepszym świecie marzę,
O innym lepszym świecie wiem.“

Story do połowy podniesione, łóżko niestarannie okryte białym w duże kwiaty muślinem, takim samym obita toaleta, na której wśród tysiąca gracików, rozpiera się imbryk do kawy, cukierniczka i pantofel różowy atłasowy z wykrzywionym obcasem. Na środku zaś stołu rozrzúcony stos gazet, zeszytów z rolami, grzebień z wyczeskami włosów, szpilki, masło na papierku i w srebrnym kunsztownie rzeźbionym koszyku chleb, bułki i nadgryzione ciastko. Opodal na kanapie, w ciężkim aksamitnym szlafroku trochę togę grecką przypominającym, a trochę negliż z pięknej Heleny siedzi pani Ora, sławna tragiczka. Fala czarnych włosów płaszczem ją otula, a ona niemyta, nie rozcharakteryzowana jeszcze od wczoraj wczytuje się w recenzje z ostatniego przedstawienia.

Nieład i zaduch w pokoju okropny. Dym papierosów ciężką chmurą zwisa u sufitu, woń kwiatów więdnących i jakieś duszne perfumy czynią atmosferę wprost niemożebną.

Pani Ora jednak nie uważa na to. Jej nie przeszkadza zaduch i brak powietrza Ho, ho, nim ona zabłysła wielkim porywającym talentem, nim weszła w świat, znała ona dobrze woń ciężką, przesiąkłą parą mydlin, gotowanej kapusty i skóry źle wyprawnej, albowiem była córką biednego szewca, który za całe bogactwo sześcioro dzieci posiadał i utrzymać musiał pracą rąk dwojga. Jakoś jednak Bóg i dobrzy ludzie pomogli i wyhodował się ten drobiazg

z maleństwa, a co które podrosło, jako te ptaki, zaraz w świat, zaraz z domu za żerem szukać samemu. Więc i Ora ośmy rok kończąc do krawcowej na posyłki, potem na podręczną, potem na dziurkarkę, spodniczarkę, do staniczarki już nie doszła, uciekła bowiem do teatru, gdzieś na prowincję.

Z początku statystowała o głodzie i chłodzie często. Później zaczęto jej dawać małe rólki i pod formą nie zawsze może udatną wyczuć można było prawdziwą iskrę talentu. Wreszcie po latach tułaczki, za poparciem jakiegoś chwilowego a wpływowego protektora, dostała się do stałego teatru. Tu rzeczywisty jej talent, mając szerokie pole do popisu, zajaśniał w całym blasku.

Doszła do stanowiska.

Na zewnątrz w życiu towarzyskiem wyrobiła się bardzo, zresztą jej szorstkie formy brano za indywidualność pewną, a tylko zamknięta w swym małym ulubionym pokoiku była sobą prawdziwą, ordynarną. W innych pokojach dla przyjmowania gości był ład i porządek i świeże powietrze, tylko tu zawsze porozrzucane ubrania, zaduch, ona brudna, często zła, klnąca o byle co. Tu była sobą, naturą pierwotną, która przy ludziach nakładała maskę a przeistaczała się tylko na scenie.

Bo była rzeczywiście artystką.

Intuicja sceniczna aż do genjuszu posunięta, gest szeroki, piękny.

W życiu kabotynka, na scenie wielka aktorka.

Ta kobieta o próżni wykształcenia, bez najmniejszych teoretycznych wiadomości, marzyła o scenię kabaretowej gdzieś w Rosji, o wyuzdanych tańcach, ordynarnem towarzystwie pijanych kacapów i deszczu złota, jaki sypać jej mieli w chwilach szerokiej zabawy i wyuzdania.

Ta kobieta i w życiu też doskonale grać umiała. Miała kochanków czerpiąc od nich co się i gdzie dało. Z przebiegłością dziecka podwórza skrzętnie zbierała majątek, najdrobniejszą kwotą nie gardząc, byle więcej, byle

więcej. Może dla córki, którą rzeczywiście kochała śniła wielką i świetną przyszłość. Bo mała była brzydka, wątła, chorowita i z początku karjery artystycznej matki, kulą jej u nogi ciężyła. Poczęta gdzieś za kulisami brudnej budy jarmarcznej prowincjonalnego teatru z jakimś przygodnym chórzystą, co nosił tobołki z rzeczami za Orą, wysługując się jej wedle sił i możności za rozkosze, które mu dorywczo, gdzieś na kupie łachmanów starych dekoracji dawała. Ilu to było takich, nie pamięta. Jak sceniczne bohaterów postacie zalśnili często na widowni życia kilka wieczorów i nikli.

Nie zliczyłaby pewnie.

Ale Ora córkę kochała. Gdy pierwszy krzyk maleństwa rozdarł powietrze, obudziła się w niej matka. Wprawdzie w to uczucie kładła i pozy dużo i komedjanctwa, ale w głębi serca było wielkie przywiązanie.

Dziecko chowało się trudno, wątłe, z początku źle odżywiane, w niewygodach i trudzie poczęte, później jakby w odwecie dobrobytu pojone lekarstwami, przesycane słodyczami, rosło słabe jakieś i źle chowane. Nie było tajemnicy, o której przy małejby nie mówiono, nie było plotki, skandalu i dziecko mimo swój wiek miało duszę postarzałą przedwcześnie. Nie równe usposobienie matki, przesiadywanie za kulisami, goście wychodzący o świcie i nie krępujący się niczem, zdławiły małą duszyczkę odbierając urok dzieciństwa i gangrenując zepsuciem.

W taki dom właśnie w takie otoczenie, do wychowania małej dostała się dopiero co po ukończeniu pensji Lunia, młoda nauczycielka.

Z początku nie mogła zżyć się z bezładem jaki tam panował, powolnie zaczęła przywykać, zaczął ją nęcić teatr. jaskrawe barwy podłych szychów wydały się harmonją tonów tęczowych, a wreszcie namówiona przez panią Orę i jej otoczenie, wstąpiła na scenę.

* *
*

A kiedy taka młoda dusza znajdzie się w tym zaczarowanym pałacu papierowego królestwa, rozczarowań ma bez liku, ale za późno już się cofać.

Teatr.

Szopka kukiełek, malowane lalki, które za wolą genjuszu ludźmi się stają i prawdziwemi łzami jęczą, prawdziwym śmiechem szaleją i tłum siedzący na widowni do współżycia poruszają:

.....że jedno serce

.....że jedna dusza.

.....że jedna myśl.

Tę złotą spójnię zdobyć trzeba, a wtedy staje się wielkim.

Omdlenie dusz ludzkich, które w posiadanie swe bierze się genjalną grą.

Albo...

Otchłań pomarnowanych ideałów.

Smutna egzystencja zawiedzionych nadziei.

Wiara w cud, który się nie spełnił.

A jednak... jednak...

Ogromne ukochanie, przedewszystkiem ogromne ukochanie sztuki.

I ci co błyszczą i na laurach spoczywają i ci co tylko małem kółeczkiem w maszynerji wielkiej całości. Stąd tyle dramatów, stąd bezsłowne tragedje, o których świat nie wie, o których czasem nawet i ci najbliżsi tam za kulisami nie wiedzą. Czasem ktoś kiedyś uchyli rąbek tajemnicy i szmat zbolałej duszy pokaże na chwilę, a często życiowa gra.

Śmiech często.

To znów długie oczekiwanie pełne różowej nadzieji, że przyjdzie dzień, odpowiednia chwila, rola znakomita, dopisze drżący głos, przepadnie onieśmielająca trema i zagrzmi hosanna szczęścia, przebudzi się z letargu ukryty talent, boża iskra, co na dnie duszy uśpiona leży lata całe..

A czasem tylko wykrzyknik jeden krótki, rdzennie polski, dosadny:

— Psiakrew!

A to tak dużo mówi.

Więcej niż przeczytany tom tragedji o kilkuset stronach.

Niż opowiadanie całego życia.

I niż długie wypłakane łzy.

Ale gdy się w kim rozsłoneczni nadzieja cudu, to jak fala popłynie radość i niema dla niej tamy. Przez jedną krótką chwilę przeżywa się tyle szczęścia, ile nie da nieraz długie pogodne życie. Te promienne wrażenia są naprawdę boskie i niema nad nie większej rozkoszy.

Król Duch schodzi do serca ludzkiego.

Rzuca pod stopy światy całe.

Czary przedziwne.

* * *

Jedno z mniejszych miast gubernialnych królestwa. Tumany kurzu wzbijają się z nigdy nie polewanej i nie zamiatanej ulicy. Domki małe, obdarte jakiejś przedziwnej struktury „izraelitel stil“, o którym można mieć tylko pojęcie, gdy się samemu zobaczy. Dziwne fasady, ganki, ganeczki, przybudówki obwieszone misterną tkanką koronek ze starych fartuchów, spodnic, scierek i betów w jaskrawem powleczeniu. Gdzie niegdzie dla urozmaicenia obrazu, na żerdzi garnek wyszczerbiony lub naczynie, o którem się nie mówi.

Chodnik a raczej wspomnienie betonowego chodnika obsiadła rzesza ludzka, nędzna, plugawa i wdycha wyziewy ścieków rynsztoka, po którym prosięta i kury bezkarnie defilują.

Tło ulicy małego miasteczka.

Największy gmach więzienie, najwspanialszy „gubernia“ najwięcej obdarty poczta, a najelegantszy apteka a czasem hotel.

Hotel w małem miasteczku to sam „cimes“. Sam pan generał niekiedy zajeżdza o ile obowiązki na prowincję go powołują. I okoliczna szlachta podczas jarmarków i komiwojażer od wódki i damskiej galanterji i pan inżynier niekiedy się trafi i adwokat i panowie oficery, a już największy krzyk gdy wędrowne aktory przyjadą. Wtedy gwar i na korytarzach aż wre od śmiechów i żartów.

Taki hotel ma zwykle wspaniałą nazwę krakowskiego lub polskiego, prawdopodobnie przez patrjotyzm, bo właściciel zawsze jest żyd i służba tegoż wyznania. Szumny szyld wisi nad bramą i o tem jaskrawemi literami ludowi obwieszcza. Zajeżdżasz przed taki hotel, tłum hałatów już cię otacza, ten szarpie za rękę, tamten wydziera walizkę, a inny popycha ku bramie. Wyrywasz się niecierpliwie, próbujesz zrobić co samodzielnie ani myśleć o tem, rozszwargotany tłum zawładnął tobą zupełnie.

— Tu, proszę pana, jest pokoje — woła pejsaty obywatel.

— Ale tu są wolne pokoje — dodaje drugi, a w rezultacie okazuje się, że niema ani jednego.

— Będzie za godzinę.

Ale ty chcesz zaraz, od zaraz.

— Jest od zaraz tylko trzeba poczekać, można przespacerować się chwilkę w ogrodzie.

— A gdzie ten ogród?

Pokazują ci dwa na pół już uschnięte kasztany, w cieniu których stoi jakiś obdarty, rozklekotany wehikuł.

Spacerujesz po owym ogrodzie tam i napowrót dwa kroki, wprzód, dwa kroki w tył, aż wreszcie pokój się opróżnia i wchodzisz uszczęśliwiony, że masz dach jakiś nad głową i znów drętwiejesz ze strachu i obrzydzenia nad nieładem i nieporządkiem.

— Jakże ja tu spać będę, brudno pewno jest i robactwo?

— Co robactwo, jakie robactwo, niema żadne robactwo, co najwyżej pchła lub pluskwa się znajdzie.

Milczysz i czujesz się wiecznie przekonanym, że w takich warunkach szczęściem jest ten kąt, jakiby nie był. Niewygodny, brudny ale dla strudzonego ciała potrzebny. Chcesz wypocząć, umyć się, oczyścić, naciskasz dzwonek raz, drugi, nikt nie przychodzi, wołasz zniecierpliwiony, aż wreszcie ukazuje się obdarty żydek.

— Czego?

— Wody do mycia.

— Zaraz.

Podaje ci dzbanek wody.

— Jakto? — tak mało?

— Tak, u nas porządne goście, nie kominiarze przecie.

Wytargowujesz dzban lub konewkę, zanurzasz ręce w wodzie ale dyskretne pukanie do drzwi przerywa ci toaletowe czynności.

— Co tam?

— Proszę otworzyć.

Wsuwa się pejsata głowa.

— Może jaki interes?

— Nie trzeba.

— Może jaką dziewczynkę?

— Co?

— Może potrzeba dziewczynkę, mam samyj pierwyj sort.

— Idź do djabła!

— Fajn dziewczynkę — podchodzi na palcach i cmokając lubieżnie szepce: — Ja pana dobrodzieju radze jak ojcu, to tylko dla pana dobrodzieja, jak dla rodzone matke....

. . . .

Taka to jest atmosfera hotelu małego miasteczka.

* *
*

W brudnym obdartym numerze hotelu małego miasteczka N. N. siedzi na łóżku Lunia. Nareszcie dostała angagement. Już jej bieda dobrze dokuczyła, skoro zde-

cydowała się jechać na prowincję. Nie byłoby to jeszcze najgorsze gdyby nie to, że trupę tę zebrała ciesząca się najgorszą opinją niewypłacalności dyrektorowa Brułko.

Pani dyrektorowa była już dobrze w latach posunięta, ale jeszcze dosyć fertyczna osoba. Przy niej zawsze się kręcił jakiś młody aktor, którego inni z przekąsem nazywali pseudo-dyrektor. Niegdyś piękność dyrektorowej sławą się cieszyła, w Rosji podobno kąpano ją w szampanie, o czem chętnie niby wstydliwie lubiła wspominać, lecz obecnie, mimo sztuczne dodatki, podstarzała już dobrze. Zawsze przy zawiązywaniu nowej trupy na owego pseudodyrektora kandydatów miała kilku. Wybraniec bowiem taki i życie miał przy niej wygodne i pewne stanowisko i gażę regularną i różne dodatki w postaci krawatów, futrzanego kołnierza w zimie, lub imitowanej panamy w lecie, nie mówiąc o innych wygodach tyczących się wiktu, opierunku i przytulnego łona pani dyrektorowej, jak dodawali złośliwie koledzy.

Firma jej nie cieszyła się nawet w prowincjonalnych miastach zbyt dobrą opinją, lecz Lunia zmuszona ostatecznością przyjęła warunki.

Siedzi więc w tym brudnym, o podartych tapetach pokoju i łzy gwałtownie cisną się jej do oczu. Nagle w świat jej myśli wdarł się krzyk ostry kobiecy, a za nim śmiech głośny, rubaszny.

Drgnęła.

— To oficerowie się bawią — pomyślała.

Krzyk znowu przebił przestrzeń, w ślad za nim śmiech pogonił. A że nieprzyjemnie jej było tego słuchać zebrała się spiesznie i wyszła, ot tak za miasto, aby trochę świeżem powietrzem odetchnąć, odpocząć po męczącej podróży trzecią klasą dusznego, przepełnionego odorem karbolu i taniej machorki wagonu.

Samej jednak iść nieprzyjemnie, więc zatrzymała się przed drzwiami Janki. Jest to jej koleżanka, prawie statystka, dla wadliwej o wybitnie litewskim akcencie wymowy: Jest

to dziewczyna inteligentna, z przyzwoitej mieszczańskiej rodziny, gra ślicznie na fortepianie. Wysoka szczupła brunetka, o dużych podkrążonych sińcami oczach, zawsze czarno ubrana, o trochę staroświeckim lub może prowincjonalnym stylu.

Lunia ją lubi bo czuje w niej duszę To czarne dziewczę jest pośmiewiskiem całego otoczenia, jej dzieje powtarzają sobie dosyć humorystycznie. Wychowana w skromnym domu inżyniera obarczonego liczną rodziną, skończyła pensję na której mieszkała stale, będąc kuzynką przełożonej, a powróciwszy z patentem do domu, młodsze rodzeństwo miała kształcić i pomagać matce w gospodarstwie. Nieszczęście jednak chciało, że przyjechał teatr na dwa miesiące. Jankę brano na przedstawienia i ta niebacznie zakochała się w jednym z aktorów. Ideał jej nazywał się Poprzenicki, grał z patosem jak prawdziwy prowincjonalny bohater, ubierał się jaskrawo i swemi małemi, podkręconemi z fantazją w górę, wąsami kokietował niedoświadczone gąski małego miasteczka. Kiedyś tańczył w balecie, potem śpiewał w operetce, w końcu został reżyserem pani Brułko. Grywał doskonale role i błyszczącemi od atropiny oczami kokietował publiczność. Miał tłumy młodziutkich wielbicielek, niedoświadczone serduszka i zapalne główki brały się na lep bezczelnych spojrzeń i baletniczych piruetów.

Do wielbicielek jego należała naturalnie i Janka, która poza pensjonatem i miasteczkiem N. N. nie widziała nic więcej. Teatr oczarował ją, płócienne, zbrudzone i poszarpane dekoracje wydały jej się pysznemi ramami świetnego przedstawienia, papierowe korony i czerwone tanie welwety obszyte wałkami z waty, na których czarne ciapki, malowane atramentem, imitowały ogonki — prawdziwym lyońskim aksamitem i bezcennemi gronostajami. A kiedy ujrzała Poprzenickiego w roli Hamleta straciła głowę zupełnie. Na domiar w mieście na dobroczynność urządzono amatorskie przedstawienie i on uproszony, łaskawie zajął się reżyserją. Janka też grała, z początku na próbach aż

drżała z zachwytu i szacunku jaki wywoływał ten wielki, w jej pojęciu, artysta, później zakochała się w nim całą siłą pierwszego uczucia. Poprzenicki nie miał skrupułów, odczuł zachwyt jaki wzbudził, nuż więc bałamucić dziewczę, a że pochlebiało to jego próżnej i płytkiej naturze, więc namawiał Jankę, aby wstąpiła do teatru. Gdyby była bogatą niewątpliwie ożeniłby się z nią, a tak mieć romans z panną z miasta zawsze to brzmiało lepiej, niż romans z trzeciorzędnemi aktorkami, bo koleżanki lepszej marki stroniły od tego pajaca.

I tak się zaczęło.

Janka zakochana po uszy zawrotnemi słowami kabotyna objawiła w domu chęć wstąpienia na scenę, ale ojciec stanowczo nie pozwolił, matka i słyszeć o tem nie chciała, zaprotestowali, zakrzyczeli i życie płynęło dalej swoją koleją, aż wreszcie jednego dnia, gdy teatr już od tygodnia był wyjechał do drugiego miasta, Janka, nic nikomu nie mówiąc, w świat za nim.

Jechała z wiarą, z wielką wiarą dziewczęcego serca w uczucie wielkie, uczciwe ukochanego człowieka. Jechała z wiarą w sztukę, w jej piękno, w jej boskie posłannictwo, ale rozczarowanie przyszło prędko, za prędko nawet, bo gdy w obcem mieście kazała się zawieść do teatru, a było to pod wieczór, na samym wstępie ujrzała Poprzenickiego, który z nalepionym z jednej strony twarzy wąsem był wybiegł z garderoby za kulisy, aby coś jeszcze na scenie przestawić i ujrzawszy przybyłą aż za głowę się chwycił.

— Jakto, tu?

A ona szczęśliwa i przerażona zarazem drżąc odszepnęła:

— Tak, przyjechałam do teatru, do pana.

— Psiakrew! — zawołał.

I to jedno słowo byłoby powiedziało jej wszystko gdyby nie była tak młoda, tak niedoświadczona i taka naiwna.

I zajął się nią z konieczności.

Bardzo zajął.

Wziął do swego pokoju żeby było taniej, sam sypiał na łóżku, gdy ona na małej kanapce kurczyła się niewygodnie, dał statystować w niektórych sztukach, grywać na fortepianie za kulisami, gdy nieumiejętne ręce na scenie imitowały ją nieudolnie, kazał przepisywać role i wreszcie nauczył chodzić po knajpach, pić, palić papierosy i kląć.

Z domu do zbiegłej nie odezwał się nikt, dla nich umarła. Komedjanctwo było zakałą nie do przebaczenia, a jeszcze ucieczka do takiego pajaca. Więc Janka po przejrzeniu, bo ideały jej zbladły dość prędko, może byłaby i powróciła na łono rodziny, ale na ich milczenie i w niej jakaś zaciętość wezbrała i upór i powiedziała sobie:

— Nie mam nikogo.

I tak już pozostało. Poprzenicki zbyt szybko przedstawił się jej w całej swej głupocie, ale ponieważ odwrót do domu miała zamknięty, więc trzymała się go konwulsyjnie, jak ci co z nikąd już nie mają ratunku, a na pociechę piła. Wkońcu czuły kochanek mając jej dosyć, drażniła go bowiem swemi tragicznemi oczyma z jakiemś obrzydzeniem i lękiem w niego wpatrzonemi, wyjechał gdzie indziej, ją zostawiając na pastwę nędzy i poniewierki w wałęsających się budach teatralnych.

Odtąd zaczęło się dla niej życie samotne, ciężkie, jeszcze smutniejsze. Grywać jej nie dawali, nie mogła bowiem pozbyć się przeciągania sylab, ale że wyglądała ładnie, dobrze wychowana akompaniowała do śpiewu, poprawiała egzemplarze, robiła kanapowe damy, za małą gażę, za małe wynagrodzenie będąc wyzyskiwaną przez przygodnych dyrektorów.

I właśnie w tem otoczeniu poznała Lunia Jankę, która ją bardzo zainteresowała. Rozmawiały często i lgnęły do siebie; Lunia zawsze radziła Jance powrót do rodziny.

— Ojciec by mię zabił — mówiła — po tem wszystkiem co zaszło, zresztą niech już tak będzie.

I jeszcze więcej piła.

Dziś właśnie słysząc krzyki oficerów Lunia wyszła z numeru i zastukała do drzwi koleżanki. Zastała ją leżącą na łóżku, w kłębach papierosowego dymu. Rzeczy wyjęte z kosza walały się po podłodze, stole i krzesłach. Okno było zamknięte, a brudne i popstrzone przez muchy szyby zaledwie przepuszczały promienie zachodzącego słońca.

— Panno Janko, pójdzie pani ze mną na spacer?

— Owszem — odrzekła leniwie i zbierać się poczęła.

— Czemu pani okna nie otworzy, zaduch — i podszedłszy do ramy rozszarpnęła je na rozcież. Fala słonecznego powietrza wpadła do pokoju.

— Może pani pomóc pozbierać rzeczy? — zachęcała Lunia.

I nie czekając odpowiedzi podnosiła i rozwieszała na kołkach i gwoździach, powbijanych w ścianę, ubogą garderobę biednej, prowincjonalnej aktorki. Obok czarnej sukienki, barwami motylemi zalśniła biała, z naszyciami jaskrawemi wstążek i złotego szychu, krakowska spodniczka, jakiś błyszczący cekinami staniczek, jakiś gorsecik ni to francuski ni to hiszpański, spodniczka purpurowa z taniego perkalu naszywana perłami, welon poszarpany i inne drobiazgi małej wartości, a tyle kosztujące zachodu i pracy biednej artystki. Zalśniły złota i błyskotki, rozjaśniły się kolory i tylko w tem ubogiem bogactwie blasków wyszły na jaw plamy, rozdarcia, szwy i grube ściegi. Cała ta motyla sterta co zawisła u ściany w oświetleniu słonecznem, jakże nędzną się wydała. Była to bowiem kupa łachmanów zdarta, zniszczona a jednak w tym brudnym hotelowym pokoju jedynym wesołym punktem, jedynym wesołym uśmiechem na tle szarzyzny otoczenia.

* * *

Za miastem cisza.

Skwarny przedwieczór letniego dnia. Piasek pod stopami jeszcze zapalony, a zdala już hen gdzieś od lasu, powiew chłodniejszy wietrzyka fruwa i muska trawy podmiejskie i główki kłosów i w kopice zboża się chowa. Do miasta jednak nie spieszy, wietrzyk esteta, on lubi piękno, a tam na przedmieściu kupy śmiecia i przefrunąć ten brudny cuchnący pas nieczystości jest dla niego rzeczą szpetną. Jego przyrodni brat wicher, ten się nie boi, potrafi rozwiać po świecie gnijące sterty, ale wietrzyk, zefirek ulotny, przyzwyczajony uderzać w dzwonki polne, kłosami kołysać, do róż się tulić, zmęczonym ludziom twarze całować, z lękiem zawraca od brudnych przedmieść na swoje zielone miedze, na złote pola, do starych grusz się tuli i w kielichy powoi chyboce.

Psotnemu zefirkowi dziś jednak weselej niż zwykle, bo śmieją się do niego dwie ładne kobiece postacie, co idą wolno wśród zżętych zbóż.

Lunia i Janka.

Jedna jasna o drobnej niby dziecinnej twarzyczce, druga czarna, ponura, tajemnicza.

Lunia, jak tylko wyszła z miasta a owionęła ją woń szerokich pól, uczuła przypływ serdecznego oczarowania, bo dla niej ten cudny świat natury to ukochany świat. Janka zaś czuje się onieśmieloną, ona nie zna wsi, ją przestrzeń przeraża, lękiem przejmuje obszar, a Lunia wyrosła wśród niego.

Dziewczęta doszły do lasu, Janka usiadła na kamieniu, ręce zwiesiła bezwolnie i milczy. Lunia rzuciła się na trawę, policzek do miękkiego podściela mchów przytuliła i szepce:

— Ukochana, ukochana ty polska ziemio, cudzie cudów!

Janka szeroko otwartemi oczyma ciekawie na nią patrzy:

— Wie pani ja zazdroszczę ludziom uczuć, jakichkolwiek uczuć, bo ja nic, ale to nic i do niczego nie czuję.

Mam w sobie tylko takie wielkie zmęczenie i pragnienie niebytu. Może dlatego, że ja nic nie przeżyłam prócz smutku. W domu nas było sześcioro, spora gromadka, matce ani ojcu czasu nie stało na czułości. W pensjonacie za dużo nas było, a obciążone pracą w niehigjenicznych warunkach, anemiczne, nie miałyśmy wprost sił na jakieś wybuchy uczuć, potem, pani wie, zna moje życie, mój obłęd dla Poprzenickiego, rozczarowanie, cóż więc później zostało?... wódka.

To mówiąc wyjęła z kieszeni buteleczkę.

Lunia zerwała się.

— Jezus Maryja! Jezus Maryja! panno Janko, jak pani może coś podobnego robić, jak pani może? Toż to gorsze niż śmierć, niech pani to rzuci!

Wyrwała jej butelkę i rozbiła o kamień, przykry, ostry zaduch taniego alkoholu rozniósł się w powietrzu.

— Musi mi pani obiecać, że pić nie będzie, tak nie można, pani nie ma nikogo, wiem, ale ja przez życzliwość jaką mam dla niej, przez przyjaźń...

Janka zaczęła płakać.

— Kiedy ja muszę, muszę — mówiła z mocą — inaczejbym się chyba zabiła.

— Ja wiem, że pani ma życie ciężkie, my wszystkie takie mamy. W prowincjonalnym teatrze to zbieranina nędz i smutków. A pani myśli, że moje życie aksamitnie się ściele, nie, mam ja niedolę i ból i łzy i głód, ale walczę, walczę dopóki mi sił starczy. Jutro, tajemnicze jutro, może z głodu padnę, ale dziś, póki dziś istnieje, walczę.

— Pani może ma jaśniejsze wspomnienia odemnie, a ja co? krzywda i brudy.

Zakryła oczy i rzewny szloch wstrząsnął jej ciałem.

— Niech pani się wypłacze, będzie lżej w sercu.

— Czy lżej?

— Tak napewno. Chociaż jakże to dziwne, że zwykle my komedjanci, wesołki życia, jesteśmy tacy tragiczni. W nas wszystkich jest niezgłębiona przepaść rozpaczy

i smutku. Dla ludzi mamy klownowską maskę wesołego pajaca, ale dla siebie... Wesołe mogą być tylko te, co nie schodzą ale wchodzą do teatru, natury niskie, małe inteligencje, gdzieś w suterynach poczęte, wychowane w krzykach burd pijackich i rozpuście, bez ideałów, parte przewodnią myślą żyć aby użyć i zdobyć jak najwięcej złota. A może mają i słuszność? Bawią się, chociaż jaka to tam zabawa?

Janka, pod wpływem słów Luni, uspokoiła się nieco.

Wieczór powolnie zaczął szarą sieć zaciągać na pola, z daleka odezwał się dzwonek na Anioł Pański i po rosie jego dźwięk słodki szedł w dal. Gdzieś od łąki pastuch nawoływał bydło, jakiś zapóźniony skrzeczek brzęczał w trawie, a one siedziały tak przytulone do siebie, zasłuchane w tę ciszę dnia konającego i jedna kajała się tej ziemi wielką, potężną miłością, a druga po raz pierwszy może odczuwala jej piękno i potęgę.

A gdy się wreszcie znalazły w mieście, uderzyła je duszność i smród rynsztoków i gwar szwargotliwej mowy żydowskich dzieciaków.

W hotelu była znośna cisza.

Lunia pęk polnych kwiatów przyniesionych ze sobą ułożyła w karafce, ugotowała na maszynce herbate i dosyć wcześnie położyła się spać.

W miasteczku tem pozostawano wyjątkowo dłużej, gdyż dyrektorowa liczyła na powodzenie trupy, jak przyjedzie nowo stacjonowany pułk huzarów, co miało lada dzień nastąpić. Jakoż jednego dnia rumor w hotelu zrobił się straszny, bo rano oficerowie od piechoty wymaszerowali a na ich miejsce strojni, błyszczący i brzęczący huzarzy dumnie wkroczyli. Wieczorem dawano operetkę. teatr był rzeczywiście rozsprzedany a że Lunia nie śpiewała, więc powróciła do numeru. Wzięła jakąś książkę i czytać zaczęła, gdy usłyszała stukanie do drzwi.

— Proszę — rzekła.

Przed nią stanęła uśmiechnięta gospodyni hotelu.

— A, pani sama?

— Tak sama, nie gram dziś więc czytam.

— Ale to nudno samej.

— Z dobrą książką nie nudno.

— To takie gadanie. Młode, ładne osobe i ciągle same. Dlaczego to pani nie pójdzie na zabawę? Takie śliczne huzary przyjechały aj, aj, palce lizać jakie śliczne, same grafy. Jeden to un gruzin, taki cały czarny, to un bardzo prosił coby pani na kolację poszła, on pani papierosa przesyła na poczęstowanie.

To mówiąc z bocznej kieszeni fartucha wyjęła złotą papierośnicę suto nabijaną monogramami, podsunęła przed oczy Luni.

— Niech pani bierze.

— Dziękuję, nie palę.

— Jakto? — zdziwiła się szczerze — aktorka i papierosów nie pali? Gott, Gott, ale chociaż obejrzeć warto, ile to może kosztować, samo złoto, et, et... cmokała w zachwycie.

Lunia spojrzała na papierośnicę i uśmiechnęła się na mnogość napisów jakiemi była pokryta; zdobiły całą ją imiona żeńskie: Fifi, Mimi, Katia, Lulu, Minka i tem podobne zdrobnienia.

Żydówka uśmiech podchwyciła.

— Prawda że ładne, a graf jaki piękny, on chciałby panią poznać, un zna wszystkie wielkie aktorki, un zna i panią Bogorskę i panią Chamaux z Warszawy, pani słyszała o nich? Un zna i inne, to wielgi pan, wielgi graf. U niego i pieniądze, jemu jak się dama podoba to jak nic da jej piętnaście albo dwadzieścia papierków i jeszcze na kolację zaprosi.

Lunię opowiadanie to drażniło, więc chcąc się pozbyć natrętnego gościa zaczęła upewniać, że się nie nudzi i że nie ma czasu na zabawę, a gdy wreszcie pozostała samą, myśl rozproszona nie mogła wrócić do książki i krążyła

uparcie obok czarnego huzara, starej żydówki pośredniczki i przeróżnych Mimi, Fifi i Lulu.

Zapaliwszy świecę zaczęła sobie przygotowywać kostjum. Aż serce bolało patrzeć jakie to wszystko było tanie, ubogie choć czyste i niepozbawione dobrego smaku. Lunia długo coś tam majstrowała, poprawiała, przyszywała aż wreszcie umęczone rączki na robotę bezczynnie padły, a po policzkach łzy pociekły, bo gorżkie myśli nawiedziły Lunię.

— Co będzie dalej, co będzie?

Dramat ma coraz mniejsze powodzenie, jedynie operetka jeszcze coś tam przynosi. Artystom już od kilku dni nie wypłacają, co będzie jak zabraknie na obiad?

Ona jeszcze ostatecznej nędzy nie zna ale czuje, przeczuwa, że i to się zbliża. Dziś Janka jadła suche bułki a Lunia dała jej herbaty i szynki. Ale co będzie dalej?

Nagle drgnęła, gdzieś z za ściany śmiech i gwar się ozwał.

— Tamte się bawią — pomyślała — tamte nie przebierają. Dziś ten, jutro inny, a pojutrze szpital albo jeszcze tragiczniejsze zakończenie.

Ktoś zapukał i momentalnie we drzwiach stanęła Janka.

— Ach jak to dobrze że pani przyszła.

— Na prawdę? Skończyłam akompanjowanie wcześniej, zobaczyłam że u pani światło więc zaszłam.

— Bardzom jej rada.

Usiadły.

Nagle Lunia przez stół ku niej się nachyliła:

— Opowiem pani moje życie, dobrze?

Janka chciała zaprotestować.

— Nie, nie, opowiem pani spokojnie jak przeczytaną książkę, a którą się długo i szczegółowo pamięta. Zgaszę światło, księżyc tak ładnie świeci, więc...

* * *

— Miałam kochanka.

Słowa te zgrzytem padły w wieczorną ciszę pokoju.

— Tak, miałam kochanka. Dziś ten pan nosi jedno z najwięcej znanych w kraju nazwisk, magnat z fortuny i urodzenia. Podobno kochał mię szalenie, miał takie dobre oczy, mówił tak serdecznie, upoił temi słowami, obezwładnił potęgą pragnienia, żarem pocałunków, później rodzina bojąc się mezaljansu wywiozła go zagranicę, a gdy po czasie wrócił, u boku swego miał żonę.

A pani wie, że byłam sierotą.

Wychowywał mię stary wuj dziwak, egoista, nie mający nigdy i dla nikogo dobrego słowa. A właściwie on płacił, bo wychowywała mię stara niania Kowalisia.

Daleka cicha wieś nad Dniestrowym szlakiem położona, stary, jak grzyb przytulony do ziemi dwór, mchami dach obrosły, a dzikiem winem ściany. Zato wesoły park, wiosną jak bukiet ślubny wyglądał od kwiatów wiśni, grusz i puchów czermszyny.

Rosłam bez manier, bez form, mimo że drzewo genealogiczne piękne herby posiadało, że i mitry książęce niejednokrotnie po niem się plątały, nie uczył mię nikt. Sama zaczęłam uczyć się na starym Duninie, który mię zachwycał aksamitną okładką i wytartemi niegdyś złoceniami. Potem stary kalendarz wpadł w ręce dziecka, później sennik, książka kucharska i inne, które się między szpargałami na strychu walały. To były pierwsze początki, aż wreszcie odwieziono mię na pensję. Ja, dziecko wsi, dziecko swobody i słońca konałam w ciemnych murach ponurej uczelni. w końcu przywykłam. Wreszcie skończyłam edukację, zdałam na patent nauczycielki i dostałam miejsce u pani Ory.

Zna pani ją zapewne ze słyszenia? Tam zetknęłam się ze światem kulis. Tam poznałam mnóstwo ludzi z najrozmaitszych sfer towarzyskich. Tam wreszcie i mojego kochanka hrabiego Rogera.

Scena ma wielki urok nawet dla tych, którzy ją znają, a cóż dopiero dla niedoświadczonych. Zresztą to takie banalnie omówione, zaznaczam tylko jako tło.

Młodość rwąca, ideały, różowe szkła szybek od parawanu niedoświadczenia, przez które się patrzy w przyszłość. Sztuka. owa wyśniona sztuka, a w niej i dla niej praca małopłatna, całopalenie dusz, czasem szarpanie własnego serca, czasem małpiarstwo tylko. Rezultat rozigrane nerwy, wędrówka po podłych małomiasteczkowych hotelikach, rubaszne zaczepki oficerów, nędza, głód, dziurawe buciki.

Czy Roger kochał mię? nie wiem? Zapewne, może. To wiem, że znajdywał się ciągle na mej drodze, ale po powrocie jego z zagranicy, gdy siedział w loży z nowo zaślubioną małżonką a ja miałam występować, zerwałam przedstawienie, zapakowałam całe moje bogactwo: kosz i kufer — i do Warszawy.

Warszawa! wielkie słowo dla biednej samotnej aktorki. Ułuda bogactwa, szczęścia i ideałów. A miałam jeszcze prócz kufra i kosza moc wiary w siebie, siłę młodości, nuż szukać angagement, ale wszędzie nad podziw grzeczni ludzie i grzecznie się pytali:

— Kto panią proteguje?

— Kto? Praca moja, ukochanie sztuki.

— Nikt więcej? nic więcej? a to za mało.

Albo mówiono:

— Masz cudne usta dziewczyno, całuj i pieść a może wtedy...

I dzień za dniem schodził, dzień za dniem, aż przyjęłam propozycję pani Brułko! Więc ideały na sam spód kosza, pod garderobę do nieużytków, może tam kiedyś ujrzą światło dzienne, a może spleśnieją.

Oto dramat mojego życia.

Czasami zdaje mi się, że już wszystko przeżyłam, że już nic przedemną, a czasem marzy mi się, że jeszcze mię coś spotka, coś co może wściekłym bolem wtrząśnie moją duszę, lub w tęczowe barwy szczęścia ją przystroi, czy ja

wiem zresztę co? A może już nic, nic prócz tej włóczęgi pseudo artystycznej zdala od prawdziwej, boskiej, rzeczywistej sztuki.

Zamyśliły się obiedwie i siedziały tak długo, długo, aż szary świt do okien zaglądać począł i różowa smuga porannej zorzy z nieba uśmiechnęła się ku ziemi.

* * *

Siedzi Janka z oficerami przy suto zastawionym stole i milczy, przyszła bowiem na tę kolację uproszona przez dyrektorową.

— Niech pani idzie, niech pani to zrobi dla mnie, obiecali właścicielce hotelu zapłacić zaległość za mieszkanie, ale warunek żeby pani była.

— A dyrektorowa będzie?

Coś, jakby błysk fałszu, przez twarz wymalowaną przebiegł.

— A jakże, naturalnie, tylko troszeczkę później.

— To ja na panią poczekam, pójdziemy razem — mówi Janka.

— Ej nie, nie, lepiej pani pierwsza. Widzi pani, mnie dyrektorowej nie wypada tak razem, ale ja zaraz po pani, jak pamięć mego nieboszczyka Minusia kocham. Muszę się ubrać przecież, no i w domu coś tam do załatwienia, ale gdzieżbym nie przyszła, przyjdę. Wszak to idzie o panią, o moją drogą pannę Jankę i o naszą egzystencję.

— Czy oni moją bytność na tej kolacji za warunek położyli?

— A jakże.

— A może która inna z pań....

— E, — przerwała jej — oni chcą porządne towarzystwo, nie jakieś tam takie, zresztą ja będę a ja z takiemi — tu się znacząco skrzywiła — być nie chcę, wprost nie wypada.

— Wolałabym już nie wiem co, niż tę kolację.

— Ależ to grzeczna młodzież, dystyngowani, bogaci, znam ich od dawna.

— Jakto, a przecież dyrektorowa mówiła, że ich dopiero wczoraj....

— Ot, ot, przypomnieli się wczoraj, ja ich znam jeszcze z Rosji — tu wstydliwie niby oczy spuściła — jeszcze z moich szampańskich, chciałam powiedzieć, dobrych czasów. Boże, jacy to grzeczni kawalerowie!

A gdy Janka znowu wypraszać się zaczęła, dyrektorowa ostatniego użyła argumentu.

— Pani wie w jakiem jesteśmy położeniu, hotel niezapłacony, lada dzień aktorów wyrzucić mogą, tu idzie o koleżeństwo, o czyn koleżeński, a pani nie chce, tem bardziej, że gdyby coś było niestosownego — mówiła z patosem — to ja swojem nazwiskiem pokrywam, ja dyrektorowa z opinją bez skazy, ja wdowa po takim dyrektorze jak mój nieboszczyk Minusio. — Tu zaczęła płakać. — Bo niech pani nie wierzy co tam aktorzy w złości o mnie mówią, niech pani nie wierzy, ja mam serce ale tylko dla moich dzieci, dla mojej trupy, dla tych nędzarzy co z łaski przygarniam do swego łona, to jest do teatru i jak mi się odwdzięczają, jak? pani nie chce nawet iść ze mną, z dyrektorową, po ś. p. Minusiu, co nie dojadł, nie dopił, nikomu nie zapłacił, ale pieniądze do kasy schował, dając im dobry przykład.

Tu już pani dyrektorowej wymowa się urwała i z namalowanych grubo brwi i rzęs czarne łzy padać na palce zaczęły, co ujrzawszy, czemprędzej je wycierać poczęła, mażąc jakieś esy i zygzaki na pomalowanej twarzy.

Oszołomiona potokiem bezładnej gadaniny, Janka przyobiecała wreszcie pójść na ową kolację.

I poszła.

. . . .

Siedzi więc Janka z oficerami przy suto zastawionym stole i milczy. Jej długa, wąska twarzyczka, o bardzo podsiniałych, czarnych jak węgle oczach, pobladła jeszcze

bardziej. Zaciśnięte usta purpurą się znaczą, zda się że z nich lada chwila krew tryśnie, takie niezdrowo czerwone.

Oficerowie się śmieją, dużo mówią, jeszcze więcej piją i bawią Jankę opowiadaniami koszarowych anegdot, a ona co chwila niespokojnie na drzwi spogląda rychło li dyrektorowa nadejdzie, ale jak niema jej tak niema.

— Ach, panna Janka nie śmieje się, poczemu, co? Chyba wszystko w porządku, co? Tak pijmy!

Trącają się i piją, oczy im coraz więcej błyszczą, a coraz mniej przytomne wejrzenia.

— Wy, panna Janko, wy tak do teatru stworzeni, co nie daj Boh, już ja się na tem znam. Wy by lepiej podruga sobie wzięli, przyjaciela i zdala od komedjanctwa żyli, prawda?

Janka nie słucha ale potakuje.

— Tak uśmiechnijcie się panna Janka, a?

I ona uśmiecha się.

Przyszła na tę kolację a teraz żałuje. Piękny huzar, to prawda że piękny, ale jak djabeł czarny i dziki. Drugi niełądny szczupły, cichy i patrzy na Jankę z jakąś ogromną pokorą czy nieśmiałością. Jemu imponuje ta smukła czarna z tragicznem spojrzeniem dziewczyna, on takie oczy zna, tam na Kaukazie roztęsknione mołodycie za swymi kochankami takiemi oczyma na oczerety wyglądają. Takie oczy tęskne on widział nieraz hej za Donem i one mu daleki kraj przypominają. Chwilami mu żal dziewczęcia i wstyd za grube żarty towarzysza, ale huzar nie uważa, chce się bawić i aktorkę dla tego sprowadził aby weselej pourżnot'! Taka natura, ten melancholik tamten wesoły.

— Hej, panno Janko, patańciujem. Nika zaigraj!

Stary o pożółkłych, powytłukiwanych klawiszach klekot jęczy jakąś małorosyjską tęskną piosenkę, huzar przytupuje podśpiewując fałszywie, wreszcie muzyka się zmienia w jakiś szalony ton kozaka.

— Uch, uch! — tańczy potrącając krzesła.

Janka siedzi chmurna, przez chwilę tęskna melodja myśl jej porwała ze sobą i pobiegła jej sieroca dusza, na skrzydłach tego dźwięku kędyś w świat nieznany, ale rubaszna nuta kozaka znowu ją sprowadziła w prozę brudnego gabinetu.

— Uch, uch, ucha chacha! — krzyczy huzar i nagle staje przed Janką.

— Czego się wy smucicie, a?

— Ja taka zawsze.

— To źle.

— Cóż robić?

— Ale ja chcę coby wy byli weseli. — Usiadł przy niej i wziął ją za rękę. — Ja chcę się z panną Janką bawić, mnie potrzebna podruga wesoła, ja jej zapłacę, ja bogaty. — Nagle objął ją w pół i przygiąwszy pocałował w usta.

Dziewczyna się zerwała.

— Co, co pan robi, jak pan śmie!

— Toż dusza, śmiem bo ja kocham pannę Jankę. — I znów ją chciał objąć.

Wtedy wyprostowała się jak struna i nagle sama niepoznając swego głosu, rzekła dobitnie:

— Precz!

— Co, co, ja precz, a ty, ty, komu ty mówisz precz! Ja zapłacił za kolację, tu wsio moje, ja direktorowej za ciebie tożе zapłacił!

Złapał butelkę i trzasnął nią w lustro, które z brzękiem rozbiło się sypiąc na ziemię drobiazgami odłamków. Chwytał kieliszki, talerze i trzaskał niemi o ziemię. Za drzwiami słychać było dosyć wyraźne głosy, w których Janka rozróżniła zdanie:

— Oficerowie i aktorki.

A huzar szalał, darł serwetę, walił krzesłami o ziemię, wreszcie dopadł jej i drzeć stanik na niej zaczął.

Momentalnie towarzysz jego stanął przy niej i jął go uspokajać, ale to w większą jeszcze pasję wprowadzało pijanego.

— Ja jej pokażu „procz“, jej Bogu budu strelat' — i nie namyślając się rewolwer wyciągnął. Tamten widząc, że z rozwścieczonym a silnym jak lew, nie da sobie rady, pobiegł ku drzwiom chcąc je z zasówki otworzyć, przyzwać kogo na pomoc, lecz nim zdążył to zrobić w kącie pokoju odezwał się trzask i huzar jak długi runął na ziemię, rozbijając głowę o leżące skorupy talerza.

Bo póki tłukł szkło, rozbijał meble i krzyczał wściekle Janka stała ponura, cicha, nic nie mówiąc, ale gdy podbiegł do niej, dotknął jej stanika z jakimś rubasznym, obelżywym gestem i prawie w samą twarz wyrzekł:

— Swołocz polka!

W dziewczynie zagrała krew i nie namyślając się, silną ręką wycięła mu policzek, od którego pijany zwalił się na ziemię kalecząc czoło. Krew mu oczy zalała, chwilę leżał nieprzytomny wreszcie się zerwał ale Janki w pokoju już nie było, a przyzwyczajony do scen podobnych Nika starał się go uspokoić.

— Aresztowat'! — wrzasnął w niebogłosy — aresztowat!'

U drzwi tłoczyła się służba hotelowa, kelnerzy, posługacze, wreszcie już i z ulicy cisnąć się poczęto, a on siny od złości, pijany, ryczał jak zwierz wciąż jedno:

— Aresztowat'!

Przyniesiono w misce wodę, ręcznik, zaczęto go obmywać. Nikołajewicz chodził koło niego jak koło dziecka, wreszcie kazał podać wódki, całą karafkę przelał do szklanki, huzar wypił duszkiem, podparł się na stole i usnął.

Taki był zwykły koniec tych awantur.

A wtedy Nikołajewicz wysunął się z pokoju, zalecił dookoła ciszę i poszedł szukać Janki, nie było jej w pokoju, przywołany posługacz objaśnił, że wyszła na ulicę, domyślił się, że jest w ogrodzie okalającym hotel i istotnie zdala na ławie ujrzał jej sylwetkę, pospiesznie więc ku niej podążył.

— Zapewnie po mnie, pomyślała i łzy zdławiła w sobie, jakieś odrętwienie na nią naszło i nim Nikołajewicz słowo do niej zdążył przemówić, ona spokojnie spytała:

— Jestem aresztowana?

* * *

Długi czas było milczenie. Z początku nie wiedział co odpowiedzieć. Żal mu było tej biednej wątłej postaci kobiecej, takiej innej niż te, które poznawał dotąd. Żal mu jej było i jakieś wzruszenie całą falą zaczęło mu piersi rozpierać.

Coś niby nagły w ciemności blask.

Niby wiosenne powietrze.

Jak uśmiech jasne.

Jak spojrzenie matki miłe.

Coś, co trwogą tamuje głos w piersiach, a szczęściem rozsadza serce.

Więc nachylając się ku dziewczęciu zaczyna mówić a głos mu drży:

— Panno Janko źle się stało, ale stało się i dobrze. On teraz śpi, ja go uśpił, jak się obudzi nie daruje, ale... ale na to ja znalazł sposób, ja powiem, że pani moja narzeczona, tak on ma dla mnie wdzięczność to wtedy odpuści.

Janka zaczyna pojmować.

— Jakto, jakto?

— Ano tak, my z jednego miasta z Kawkazu, my dzieci kupców, tylko jego ojciec dorobił się znacznego majątku tak i jemu tytuł grafski kupił, a u nas bieda, nie bieda ale nie bogactwo. My od szkolnej ławy razem, to ja za niego lekcje odrabiał a w kozie siedział, on mnie druh, on pijanica, to prawda, ale on mnie uważa. Wy mnie ponarawiliś, podobała się panna Janka, ja myślał co taka jak inne, a nieprawda, bo dobra czestna niewiasta. Ja wiedział co u was bieda, co jeść nie mieli i dlatego przyszli

żeby z mieszkania proklatyj żyd nie wyrzucił. Huzar jemu obiecał zapłacić jeśli wy przyjdziecie, a dyrektorowa staraja wiedma namówiła. Mnie było was żal, no ale i on mnie druh, ja nie dumał co się tak skończy. Tak teraz trzeba radzić. Ja pojutrze wracam na Kawkaz, ojciec chce żebym go zastąpił w interesie, sam staryj już, tak jedźcie ze mną, ja na was ożenię się, ja już wychodzę z wojska. Tam jest dom i sklep po ojcu prowadzić będę. Mnie potrzeba niewiasty, a że ja russkij tak co, u mnie babka była polka, ona jeszcze żyje, ja ją kocham ona mnie od dziecka najwięcej lubiła i łakocie dawała i broniła żeby ojciec nie bił, ona się ucieszy że wy polka, ona kocha swoju nacju. No, panno Janko — patrzył jej w oczy błagalnie — ja nie ładny, nie bogaty ale serce u mnie.

W niej jakaś walka zaczyna wzbierać. Za szczerość musi odpłacić szczerością, musi powiedzieć o Poprzenickim.

— Nikołajewicz, ja nie mogę na to nic odpowiedzieć, dopóki nie powiem Panu szczerze, otwarcie...

Ale on jej przerywa:

— Nie, nie, ja nic nie chcę wiedzieć, nic słyszeć. Za wasze życie od teraz mnie odpowiadać przyjdzie, za wasze życie od dziś, od teraz.

A jej łzy leją się po twarzy, że nareszcie ktoś jej bezdomnej chce ofiarować przystań jakąś, chce dać opiekę i życie, może znojne ale wspólne.

— Ja jeszcze dziś przed całym pułkiem powiem, że wy moja narzeczona żeby was upewnić, że ja czestnyj człowiek, więc proszę nie płakać, proszę się uspokoić.

A jej łzy płyną niepowstrzymaną falą.

Czy za tem nędznem psiem życiem.

Czy za niedolą swoją sierocą?

Czy za tym szmatem ziemi, którego może, już nigdy nie zobaczy?

A może w te łzy kładzie wielką wdzięczność i żal zarazem, że znalazł się ktoś najbardziej daleki, najbardziej obcy, kto jednak rękę jej podaje i mówi:

— Bądź moją.

To znaczy „bądź moją“ nie zabawką chwilową a towarzyszką życia, doli i niedoli, wesprzyj się na mnie i wierz mi i ufaj i spij spokojnie bo drugi człowiek jest obok ciebie i czuwa.

* * *

Usiadła na łóżku gdy blady świt przez nieszczelnie zasłonięte firanką okno przedzierać się zaczął, ponad futryną ćwierkały wróble i prócz swarliwych ich głosików nie mącił żaden szmer ciszy.

Uniosła się z nad poduszki, przeraźliwie podbite oczy w szarą przestrzeń porannej smugi utkwiła i po policzkach zaczęły cieknąć łzy wielkie, gryzące, łzy co jak płyną duszę żrą bolem i serce szarpią krwawemi szponami cierpienia.

Bo oto przyszedł dzień gdy życie jej miało wejść na inne tory, albo aresztowanie i cała ohyda procedury sądowej albo zamążpójście za Nikołajewicza.

O dymisji w teatrze już nie wątpiła, tak skandalicznej aktorki nawet wolnomyślna pani dyrektorowa Brułko u siebie mieć nie chciała, powołując się na opinję ś. p. Minusia.

Są czasami w życiu ludzkiem godziny dziwne, godziny jasnowidzeń. Suną wtedy przed otwartemi na jawie oczyma obrazy, które się kiedyś w myślach przeżywało, może słyszało się niegdyś, dawno już bardzo, w dzieciństwie, od starych nianiek usypiających dzieci kołysanką, od dziadunia pochylonego, co w oficynie gdzieś mieszkał, nie krewny i nie rodzony ale sercem bliski, zrośnięty przywiązaniem do ludzi przy których żyje.

W jesienne długie przedwieczory, gdy wicher hula za oknami, gnie gałęzie dębiny, samocze słomiane chochoły róż otulonych na zimę i pląsze okrzewia, dziadunio w ciepłym pokoju dokładając drzew na ogień kominka, przyciszonym głosem owe legendy opowiada, dawne, dziwne,

przedziwne, cudowne, straszne a kochane, od których słuchającym serca w piersiach łomocą głośno a na twarzy ognie płoną lub ciemnieją złowieszczo źrenice.

Te to właśnie baśnie w jasnowidzeń przedśmiertne godziny ludzie oczyma duszy wspominają.

— Hej, hej, Olszynka... Ostrołęka... tyle ofiar... krwi tyle... wdów tyle... sieroty... wygnańcy... zimne północne kraje... jakuckie nory... kazamaty przepełnione... krew, krew, krew!...

To wszystko Janka widzi. Widzi siebie małą dziewczynkę uczepioną dużego fotelu dziadunia.

— Pod Kownem — powiada — pod Kownem, a nam się dusze i serca rwały, bośmy za dobrą sprawę walczyli, za naszą sprawę przeciw przemocy.

— Przeciw przemocy — powtórzyła.

A potem siwa gołąbka babunia:

— Skubałyśmy szarpie i bandaże wiązały, to było dla nas najmilsze zajęcie. Ile to łez na te skubane szmatki padło, bo niejedna myślała, nuż kochanego onemi opatrywać będą... a mówili ludzie, że kto miał na śmiertelną ranę przyłożone opatrzenie, na które przy darciu one serdeczne płakanie padło, to miał lekkie skonanie. Jedyna pociecha junakom od wiernych serc dziewczęcych.

A zawsze nienawiść.

A dziś, a teraz?

Morze krzywd.

. . . .

Zdaje się Jance, że pozytywka gra menueta. Śliczny francuski taniec, coś z lotu motyli i śmiechu kwiatów ma w sobie.

Na środku białej, w złocone stiuki, sali stoi Napoleon. Ten wielki, dumny, butny z zwycięskim uśmiechem, z założoną na piersi ręką.

Ten nadzieja!

Ten zaufanie!

Ten wiara!

Suną ku niemu rycerze, magnaty i młódź wszelka, a on tańczy szorstko, niedbale i ledwie raczy patrzeć na barwny, świetny tłum, co w wdzięcznych piruetach francuskiego tańca, wpatrzony w bohatera przyszłość chce odgadnąć, zwycięstwo widzieć i sławę marzy, sławę, sławę!

. . . .

Jakiś szczęk, ostrzenie kos, białe sukmany. Na tan, na tan, na tan! Aż srebrno od kos, aż czerwono... niby od maków. Na łanach leżą już snopy całe... ale nie zbóż.

. . . .

— Opowiedz nam bajkę matuchno.

A matka milczy.

— Opowiedz nam co z minionych lat.

I mówi.

— Daleko, daleko bije wawelski dzwon. Cudowny, spiżowy dźwięk po szarej Wiśle płynie. A dźwięk ten najmilszy w świecie i kto go raz sercem usłyszał nie zapomni nigdy. A rzeka płynie przez kraj... niewolny...

— Matko, nie buntuj rodzonych dzieci!

. . . .

Otrzeźwiała.

Rozświetliło się już całkiem, gdzieś skądeś wystrzelił nagle nieśmiały promień słońca i do pokoju popod uchyloną firankę wleciał, przysiadł na barwne łachmany teatralnych kostjumów, pokołysał się w błyszczących cekinach, tłustą plamę na zielonym staniku oświecił, zagrał blaskiem różowym w nadtłuczonej karafce i nagle cofnął się w najdalszy kąt pokoju przed twarzą dziewczyny stężałą z bolu. Bo twarz ta na uśmiech jego jasny, na owe dzień dobry wesołe, nie odpowiedziała uśmiechem. Stężała z bolu, zrezygnowana nie widziała już uroku życia, czaru natury. Dla niej słoneczny poranek był smutnym jak i całe jej życie, więc powolnie zebrała się, podeszła do stolika i odgarnąwszy bujne, czarne sploty wzięła dużą paczkę zapałek i z całą systematycznością siarkę z nich ścinać poczęła, wreszcie do filiżanki z zimną herbatą zebrany miał zgarnęła i wypiła.

* * *

Przejrzała portmonetkę i poza rublem już nic nie znalazła.

Rubel.

Jeden mały srebrny krążek, cały majątek Luni.

— Jakże to będzie — pomyślała. Już jest tak przyzwyczajona do biedy, że ją to nie dziwi. Myśleć, nic nie wymyśli, coś jednak będzie. Wszystko posprzedawała, pozostało to, co na sobie.

Już miesiąc jak się tak kołacze w tej Warszawie, miesiąc od śmierci Janki i pobytu w N. N., skąd trupa pani Brułko zmuszona była wyjechać, dyrektorowa gdzieś z amantem uciekła, zabierając kostjumy i nieliczne dekoracje, pozostawiając aktorom długi, niepopłacone mieszkania i jak najgorszą opinję. Jak się wtedy ci biedacy stamtąd wydostali Lunia nie wie, cudem, sprytem czy bezczelnością. Uciekali po nocach z małemi tobołkami lub ogołoceni nawet i z resztek garderoby, bielizny, nie mówiąc już o koszach lub walizkach.

Lunia sprzedała złoty zegarek, ostatnią pamiątkę lepszej przeszłości i zato pojechała do Warszawy. Starała się gorliwie o zajęcie na statystkę choćby do rządowych teatrów, ale i do tego potrzeba było protekcji, wielbicieli i szczęścia. Prowincja była tak zdyskredytowana przez oszukujące przygodne dyrekcje, że nikt narazie tam nie mógł jechać, a na podróż za granicę do Krakowa lub Lwowa Lunia nie miała pieniędzy i ruszyć się nie mogła żyjąc właściwie na kredyt.

Duszno jej było i chłodno w małym, brudnym pokoiku podejrzanego chambre garni, gdzie mieszkała. Deszcz mrzył, oślizgłe dachy odbijały się przez okno poddasza na którem mieszkała. Gdzieś ktoś rubasznie podśpiewywał, ktoś śmiał się piskliwie, z dołu dolatywało tupotanie nóg, ktoś przebiegał podwórko tam i z powrotem. I te wszystkie odgłosy razem złączone z rozpłakaną pogodą rozciągały się melancholją jakąś, kładąc tępy ucisk na mózg Luni.

Zdawało jej się, że ta jesienna szaruga nigdy się nie skończy, że słońce umarło na zawsze. Nie mogąc wytrzymać w tej atmosferze włożyła kapelusz, płaszczyk i wyszła.

Po oślizgłych trotuarach przesuwali się tylko ci, których konieczność zmusiła do opuszczenia ciepłych pokoji lub wygnała niedola jak Lunię.

Szła powolnie w stronę Krakowskiego przedmieścia. Zdarta podeszwa bucików przewilgła i nabawiała ją dreszczów. Nie namyślając się wsiadła do tramwaju, ostatniego rubla zmieniła na drobne i jedzie. Wtuliła się w kąt ławki i przez okno patrzy na ulicę. Zapłakane szyby rozdwajają światła witryn sklepowych, czasami wydłużają je w kometę to znów migocą w szerokiej kałuży gwiazdkami.

Lunię, ten powolny ruch tramwaju uspokaja, ogarnia ją jakaś bezmierna apatja. Nie moknie, nie ziębnie, w zacisznym wagoniku znacznie cieplej niż na ulicy, buciki tylko ciężą nieznośnie.

Nareszcie tramwaj staje, około kolumny króla Zygmunta tłumy, koń dorożkarski zdechł, więc nim go uprzątną długi szereg pojazdów zatrzymany. Publiczność zniecierpliwiona wychodzi, więc Lunia machinalnie za innymi opuszcza swój zaciszny kącik, nie spieszno jej, ale owczym pędem prowadzona.

A tam aż gwarno od śmiechów i żartów, gawiedź uliczna zadowolona. Chuda szkapa, skóra i kości, pracowała dla ludzi dopóki sił starczyło i padła na stanowisku. Ta wyszczerzona końska szczęka, z której żółte zęby jakby się śmiały, boli ją poprostu, zawraca więc z powrotem do domu. Chciała uciec przed smutkiem, przed melancholją która czołgała się po ciemnym pokoiku, a tu wlecze się za nią jeszcze cięższa, spowodowana niedolą cudzą, nie ludzką wprawdzie a jednak bardziej bolesną, bo tragedją zwierzęcia które nic nikomu złego nie zrobiło.

Naraz czuje, że ktoś delikatnie ujmuje ją za rękę. Odwraca się, przy niej stoi jakaś starsza kobieta w płaszcz i kapelusz czarny, trochę niemodny, ubrana.

— Chcę z panią pomówić, wejdziemy na chwilę — i nie czekając odpowiedzi kieruje się do bramy a za nią bezwolnie Lunia.

— Możeby pani do mnie jutro przyszła, mieszkam Krucza 11, drugie drzwi na prawo w oficynie, na parterze. Mam dla pani zajęcie.

— Pani mię zna?

— Tak z widzenia, panna Lunia? Otóż we własnym pani interesie proszę zajść do mnie jutro o 2-ej. Do widzenia, czekam, nie pożałuje pani. Krucza 11, parter oficyna, drugie drzwi na prawo.

Odeszła. Lunia stała przez chwilę jak oszołomiona.

— Ma dla mnie zajęcie, może engagement — pomyślała i nagła fala szczęścia zalała jej serce. Innemi oczyma spojrzała na świat, już nie widziała błota, zapomniała o głodzie, nie ciężyły przemokłe buciki, a na twarzy zajaśniał uśmiech radości. Umęczony chód stał się zgrabnym, zaczęła żyć nadzieją, obudziła się w niej wiara w jutro. Uczuła taką radość, taki wielki przypływ szczęścia, że zapominając o tem, że jest na ulicy, wśród jesiennej szarugi, jakąś piosenkę zaczęła nucić i rozpromieniona zawróciła do domu.

* * *

Na drugi dzień drżącą ręką nacisnęła guzik dzwonka u prawych drzwi w oficynie, pod wskazanym adresem. Przez chwilę jednak, jakaś moc niewidzialna jakby ją odpychała od drzwi jakby coś jej ruch ręki tamowało. A przecież drzwi te były takie jak inne, żadnej różnicy, proste, lakierowane o klamce zwykłej, banalnej, mosiężnej, dosyć starannie utrzymanej. Żadnego nad drzwiami napisu jak i u drugich na lewo. A jednak te drzwi były jakby inne, jakby czemś odbijały od tamtych. Na dole, na karcie spisowej lokatorów przeczytała, że mieszka tu pani Malinowska, wdowa z synem gimnazjalistą.

Gdy przycisnęła dzwonek przez chwilę była cisza za drzwiami, później tupanie jakieś, zakładanie łańcucha, wreszcie głos kobiecy, chrapliwy nieco, zapytał:

— A kto tam?

— To ja, pani mi wczoraj poleciła przyjść do siebie.

— Aha, tak dobrze. — I znów tupanie nóg, odkładanie łańcucha i wreszcie otwarcie drzwi.

— Proszę.

Weszła do ciemnego korytarzyka, ale kobieta znajdująca się tam, roztwarła przed nią dalsze wejście do dużego pokoju. Z kąta, z fotelu u okna, odkładając trzymaną gazetę, wczorajsza znajoma się podniosła i uprzejmie wyciągając rękę na powitanie wskazała krzesło, sama zajmując miejsce na kanapie.

— Jestem bardzo kontenta, bo lubię słowność. Słowność to podstawa dobrego interesu. Jestem Malinowska — jakby sobie nagle przypomniała, że trzeba się przedstawić. — Malinowska wdowa po aptekarzu, mam syna w gimnazjum, ciężko żyć samej, ale cóż? Na starość nikt ręki nie poda, jeżeli sam człowiek sobie czego nie wywalczy. Dziwi panią zapewne, skąd ja się nią interesuję? — spytała w dalszym ciągu

— Rzeczywiście — odbąknęła Lunia i jakąś dziwną przykrość uczuła w sobie.

Malinowska wstała, przeprosiwszy gościa, podeszła do drzwi i na chwilę zginęła w głębi mieszkania.

Lunia rozejrzała się uważnie.

W pokoju główne miejsce zabierało łóżko szerokie, złocone bogato, kapą koronkową okryte, potem toaleta pełna koronkowych falban i tanich bibelotów, umywalnia przepełniona cackami, ampla u sufitu różowa w złote gwiazdy i garniturek mebli jaskrawy, tani, kokieteryjny. Jakieś na ścianach reprodukcje dosyć swawolnej treści, w mocno błyszczących złotem ramach, a na stole kilka żurnali i pism humorystycznych, z dosyć dawniejszą datą.

Lunia rozglądała się ciekawie nie mogła jednak wywnioskować duszy tego pokoju. Widziała przecież różne, ale ten był tak inny od wszystkich. Tania elegancja usilnie rzucająca się w oczy, niesmaczna kokieterja, coś jakby grzech, jakby występek czaiło się po kątach. Czy wiało to z taniej, mocno czerwonej tapety, czy z przybrudzonych trochę falban toalety i kapy łóżka, czy unosiło się nieuchwytnie w mało przewietrzanym a często perfumowanym taniemi wonnościami pokoju? Nie mogła się na tem wyznać.

Tok myśli przerwała jej pani Malinowska wracająca z tacą, na której stały dwie filiżanki, karafka z rumem, imbryk z herbatą i ciasto, snać domowego pieczywa.

Lunia się podniosła.

— Jakto, jakto, pani się fatyguje dla mnie, a ja nie wiem dlaczego, co, jak?

Przerwała jej gospodyni.

— Proszę się nie deranżować, zaraz pomówimy o interesie i jestem przekonana, że będzie wszystko dobrze. Otóż proszę pić herbatę i ze mną szczerze mówić. Dobrze?

— Ależ i owszem, idzie mi bardzo o zajęcie.

— Pani nie ma engagement?

— Nie.

— Od dawna?

— Od trzech miesięcy.

— Wiem, że pani w biedzie, bo znam „chambre garni“ w którem pani mieszka, jestem w części współwłaścicielką, to jest pożyczyłam tam trochę, co mi zostało po ś. p. nieboszczyku, moim mężu, świeć panie nad jego duszą, otóż wiem że pani przymiera głodem, bo, bo moja pani w teatrze nie łatwo. Znam ja niejedną koleżankę, znam i niejedną z rządowych teatrów, a ile to razy do mnie przychodzą po pomoc, a gaże dobre mają.

— Po pomoc?

— Tak, droga pani. Takie już u mnie serce, każdemubym chciała... ale pani nie pije, może nie słodka? —

I rękę ubraną w jaskrawe, tanie pierścionki wyciągnęła po cukierniczkę. Ręka ta była pulchna, duża, ale dobrze utrzymana.

Lunia za cukier podziękowała i zaczęła pić herbatę. Czuła głód, to też ciepło pokoju i napoju działały na nią kojąco. Zjadła duży kawałek babki i bezwiednie sięgnęła po drugi. Spostrzegła się jednak i zarumieniła, ale baczna gospodyni nuż podsuwać a jeszcze więcej częstować:

— Proszę, niech pani nie robi ceremonji, ja tak lubię szczerze, otwarcie, a tak chcę z panią dobrze.

Lunię zaczyna kusić tajemniczość sprawy, jest ciekawa wreszcie dowiedzieć się przyczyny swej tu bytności. Ale pani Malinowska psycholog znakomity. Jej duża płaska twarz, o małych świdrujących oczkach, nie mówiła wiele o swoim sprycie, a jednak ta kobieta mistrzem była gdy chciała przeprowadzić to o co jej chodziło, wymacać grunt na którym miała stanąć, więc powolnie mówiła:

— Widzi pani, ja znam życie, sama niegdyś obijałam się na niem, więc lubię drugim dogodzić, pomóc jeżeli można, a pani mi żal, wiem że jest wykształcona a biedna, a przecież na ulicę nie pójdzie.

— O, co też pani mówi? — oburzyła się Lunia.

— Tak, tak, życie nie zna żartów, jak głód dokuczy to i na ulicę kobieta pójdzie, ale co za wstyd.

— Hańba!

— E, a mało to ja takich znała a jednak i za mąż dobrze poszły i pieniądze zebrały, tylko mię trzeba słuchać. Widzi pani, — tu przysunęła się bliżej dziewczyny — widzi pani, ja znam bardzo porządnych panów, oni tu do mnie często zachodzą i chcą się pobawić.

Lunia szeroko roztwarła oczy.

— Chcą się pobawić z panienkami miłemi, mądremi a nie z dziewczętami z ulicy, to są ludzie bardzo hojni i bogaci. Otóż myślę, że pani by tu do mnie wieczorkiem zaszła, ja bym którego pokazała i byłoby dobrze. Oni płacą doskonale.

Lunia zerwała się.

— Za kogo mię pani bierze?

— No, no, uspokój się pani, to jest interes, ja chcę pani dobra, wiem że potrzeba i na mieszkanie, i na opał i na buciki, i na papu, a nim się znajdzie angażowanie z głodu można sto razy zdechnąć. Ja znam życie.

Lunia zaczęła płakać.

— Więc do tego już doszło, do tego — myśli. A stara kiwa nad nią głową i słodko tłumaczy.

Ja pani chcę być jak matka. A czyż w teatrze nie to samo, a może i gorzej. Dyrektor da małą gażę a kostjumy trzeba bogate sprawiać a skąd, od kogo? I tam trzeba mieć protektora inaczej przepadnie. Ile to razy wpadnie do mnie która z rządowego teatru: „a daj mi pani kogo“ — albo — „pani Malinosiu potrzebuję na kostjum!“ — a pani Malinosia jak matka dla wszystkich. Ja wiem że to panią boli, że jej się to wydaje dziwne ale o tem nikt wiedzieć nie będzie, ja nie powiem, jak Bozię kocham, ale i pani nie.

A Lunia myśli.

— Do tegom doszła, brudy, ach jakie brudy — ale siedzi bo jej tu ciepło, a u niej nie napalone, a może wymówią dawno niezapłacony pokoik i nagle mówi:

— Pani, pani, ja się tem brzydzę.

— Ot głupia, chłopców się brzydzi, alboż oni straszni, toż żaden nie zje. Ja dam pani takiego jak malowanie. Mam wielu hrabiów, obywateli i ślicznych wojskowych, no, no, proszę się roześmiać, pokażę ich przez dziurkę od klucza z tamtego pokoju obejrzy pani, dobrze?

A Lunia wreszcie się zgadza.

Pani Malinowska ma serce, zna odcienie niedoli, więc pożycza Luni 10 rubli na najpierwsze potrzeby, na buciki bo te prawie z nóg spadają i jeszcze herbatą z rumem częstuje, a rumu dużo więc przyjemnie uspokaja sumienie kołysanką błogiej rezygnacji, że i koleżanki z rządowych teatrów, mające tak wielkie gaże, a chodzą do

pani Malinowskiej, a ona im jak najpoczciwsza przyjaciółka, jak matka prawdziwa zawsze dopomaga.

I mimo że do wieczora przekonywające nauki mamy Malinowskiej już z głowy i wywietrzały, Lunia idzie. Jest smutna, zrezygnowana, ale ma nowe buciki i mimo bladości wygląda bardzo interesująco. A w świetle wieczornej lampy mieszkanie wydaje się przytulniejsze, kolorowe światło tonuje jaskrawe tapety i obicia mebli czyni łagodniejsze. Kryje różowym obłokiem banalność gracików i zalotnie się wtula w falbany przybrudzonych koronek. Lecz Lunię zabierają do drugiego pokoju, który mniej więcej tak samo wygląda jak pierwszy, dominuje tylko kolor niebieski; przez chwilę zostaje sama, słychać w dalszych ubikacjach mieszkania krzątanie się kilku osób, rozmowy przytłumione zapuszczonemi portjerami i wreszcie monotonne skandowanie słówek greckich.

— To mój syn się uczy zadanych na jutro lekcji — mówi z dumą przechodząc pani Malinowska i z butelki przez zanużoną w niej rurkę szklanną, wydmuchuje wodę jakąś wonną. Nadęta jej twarz potwornie wygląda, ale woń się roznosi jakaś bardzo słodka, aż mdlić Lunię poczyna. Trochę coś z piżma, z ambry i lewandowej wody, fabrykat domowo-aptekarski mamy Malinowskiej prawdopodobnie.

Po jakimś czasie ktoś dzwoni, znowu ceremonje z otwieraniem drzwi, rozmowa, radosne wykrzykniki gospodyni i cisza. Szepty jakieś, wreszcie śmiech męski głośny, swobodny, nieco rubaszny.

Lunia drętwieje ale sili się na spokój.

Za chwilę Malinowska wchodzi z radosnym uśmiechem i tajemniczo mówi:

— Chce pani go obejrzeć przez dziurkę od drzwi, tu umyślnie taka zrobiona. No, no, a teraz idź moje dziecko do tamtego pokoju, bo ten mi dla innych potrzebny, albo nie, zostań, umieszczę ich w tamtym, będzie daleko prościej. Zamknęła na klucz drzwi od pokoju, w głąb mieszka-

nia idącego, skąd wciąż głos uczącego się słówek greckich chłopca dolatywał.

Za chwilę wprowadziła mężczyznę.

— Pan Zet... panna Lunia moja najukochańsza pupilka.

Przedstawiony niedbale się ukłonił ale ciekawie obejrzał kobietę, ona sztywno odkłoniła. Była tak spokojną, że aż ten spokój ją samą zadziwiał, jakiś ironiczny grymas, z którym nawet było jej do twarzy, osiadł około ust jej bladych.

Mężczyzna pewien siebie przyzwyczajony do podobnych sytuacji rękę wyciągnął na powitania, ona podała mu swoją i na chwilę aż zastanowiła go ta mała miękka dłoń w jego uścisku. Zawsze bowiem kobiety tu spotykane miały palce pokłóte przez igły, zżarte prostemi robotami lub źle utrzymane przez brak kultury. Ale ta była inna, mała, ciepła, delikatna.

Szybko zwracając się do pani Malinowskiej mówił:

— Niech nam pani da co do jedzenia i picia, prawda panienko, lepiej się zaznajamiają ludzie przy jedzeniu.

A gdy Lunia nic nie odrzekła ciągnął dalej.

— Będzie panienka pić koniak?

— Dziękuję, nie piję.

— E, to tylko się tak mówi.

— Ja, naprawdę, nie piję.

— To może wina?

— Też dziękuję.

— Cóż to, panienka należy do eleuterji, w tym wieku?

W odpowiedzi uśmiechnęła się, a od tego półuśmiechu czar uroku padł na jej bladą twarzyczkę.

Gość aż podskoczył na krześle tak mu się w tym właśnie uśmiechu ładną wydała.

Pani Malinowska zaś gnąc się w ukłonach wychodziła aby przygotować żądane przedmioty.

— Wszystko na usługi pana dobrodzieja, wszystko.

Zostali sami.

— Co teraz? — pomyślała Lunia.

On wyjął papierosa, zapalił nie pytając o pozwolenie i przez stół wyciągnął rękę do jej ręki, przygarnął ją sobie i badawczo popatrzył. Ręka była rasowa, mała, dobrze utrzymana, dziewczyna ładna, a suknia na niej zniszczona już dobrze.

— Może bona? — pomyślał i nagle śmiać się zaczął.

— Cóż tak siedzimy nic nie mówiąc, podoba mi się panienka. Ja też nigdy jej tu nie spotkałem dotąd, stara ma coraz brzydsze.

Śmiał się, a właśnie wchodziła Malinowska dźwigając obładowaną tacę.

— O, widzi pani, co to nakładła żeby rachunek był większy, „maman“ to mądra baba.

A „maman“ wdzięczyła się, rozstawiała kieliszki, szklanki, talerzyki z różnemi specjałami.

— Pan dobrodziej żartuje z Malinosi a Malinosia dobra, prawda że dobra?

— No dobra dziś, ale ostatniemi czasy bardzo się tu zepsuło.

Rozstawiała ręce jakby się bronić chciała:

— Nie było towaru cóż robić?

Wreszcie cała w podrygach i uśmiechach wyniosła się, a przez uchylone drzwi doleciał głos chłopca powtarzającego monotonnie greckie wokabuły.

— No, jedz mała, — rzekł do niej. — Trudno zjemy czy nie, trzeba zapłacić, więc lepiej zjeść. — Nałożył sobie łyżkę kawioru na plaster szynki, kieliszek koniaku wypił i uśmiechając się mówił:

— Pij, za nasze!

— Dziekuję, nie piję.

— E, głupstwo, nie marudź, szkoda czasu. — Nachylił się poprzez stół do niej:

— Ładne masz usta, daj.

— Nie — rzekła twardo.

— Nie, to nie później sama będziesz prosić.

I znów zabrał się do kawioru. Jadł umiejętnie, ale siedział niedbale, podpierał się łokciem na stole, a ona popijała herbatę, która jej przez gardło przejść nie chciała. On wychylał jeden koniak za drugim, wreszcie wstał obtarł serwetą usta, zapalił papierosa, podszedł do niej i ręką po jej biuście przeciągnął. Zrobił to tak niespodziewanie, że nawet nie drgnęła.

— Zdejmij stanik, ładne masz piersi? bo ja za piersiami przepadam.

Lunia zbladła.

— No, nie chcesz gadać to do roboty, zdejmij stanik szkoda czasu na ceregiele.

Luni serce zaczęło bić mocno.

— Może masz z tyłu guziki, daj, rozepnę — i drżącemi dłońmi około szyi z tyłu przy haftce coś majstrować zaczął. Uderzył w niego zapach jej ciała, włosów, więc złapał ją w pół i pocałował. Potem jednym rzutem kapę z łóżka zerwał na ziemię, zajaśniała biel pościeli i różowe atłasy kołdry, a on zagasił lampę stojącą na stole i blask wiszącej tylko oświetlał pokój półmrokiem jakimś i Lunię stojącą z rozszarpanym kołnierzem stanika.

Jej błękitne oczy aż czarne się wydały z przerażenia, lecz on nie uważając na milczenie pewien siebie, przywykły do scen podobnych, zdejmował niedbale żakiet, kamizelkę, wyjął szpilkę z dużą perłą z krawata i wpiął w atłas pugilaresu, który umieścił na toalecie, przycisnąwszy go popielniczką, wreszcie zdjąwszy kołnierzyk spojrzał w jej stronę.

Ona stała z przeraźliwie otwartemi oczyma, blada tak jak rąbek koronki co przy staniku falbaną się zwieszał. W mózgu kłębiły się myśli o jej marzeniach dziewiczych, niepokalanych, jej duma, ambicja, wielkie ideały, wzniosłe dążenia.... a teraz, teraz stoi bezbronna sama, zdana na łaskę człowieka, o którym pojęcia nie ma kim jest? Wie, że sama zawiniła, że sama dobrowolnie przyszła nękana nędzą, głodem i troską o jutro. Czuje że na dnie jej duszy jest inny świat, słoneczny, czysty i strasznie daleki od

otoczenia w jakiem obecnie się znajduje, od kału życia i mętów zmysłowych. I stoi tak nieruchoma, wpatrzona w mężczyznę co przyszedł tu głodny płatnej rozkoszy, jeżeli rozkoszą to nazwać się godzi. Nagle przed jej oczyma przesunęła się, zamajaczyła wspomnieniem postać hrabiego Rogera, jak cień, jak ostry ból jej, a straszny wyrzut sumienia jemu. Rękoma silnie przycisnęła serce, aby stłumić jego trwożne kołatanie, a ten tu obecny nieznany, obcy, daleki jej, obraca się i rzuca twarde, ostre wezwanie:

— No, rozbieraj się.

Ale w kobiecie budzi się godność, budzi się człowiek, sponiewierany losem ale człowiek, podnosi głowę i odpowiada pewnie:

— Nie rozbiorę się.

— Dlaczego, co?

A ona z mocą powtarza.

— Ja, nie rozbiorę się.

W nim przekora zaczyna wzbierać, teraz jej chce, za wszelką cenę chce. Te, co tu zwykle przychodziły, łasiły się jak bezmyślne zwierzątka żądne uścisku aby zapłacił więcej, a ta nagle opiera się, czemu? Podchodzi do niej i już gest jakiś nieskromny w powietrzu znaczy, gdy oczy jego padają na przeraźliwie bladą twarz dziewczyny. I zwierzę kurczy się, maleje, ginie, natomiast powstaje człowiek żdziwiony, może zły że mu przerwano naprężenie zabawy, ale już człowiek i nachylając się innym zupełnie tonem pyta:

— Co pani?

— Mnie nic, tylko ja sobie pójdę, myślałam.... myślałam że będę mogła.... ale nie.... — i chyli głowę zawstydzona.

I w tym pokoju nagle, może po raz pierwszy rumieniec wstydu się budzi. Mężczyzna czemprędzej nakłada ubranie, a podchodząc ku niej grzecznie pyta:

— Pani tu pierwszy raz?

— Tak panie.

— Z biedy?

— Tak.

— Żal mi pani — mówi to jakoś cicho i to jedno poczciwe krótkie zdanie zaczyna z jej oczu łzy wyciskać. Zaczynają padać wielkie, gorące łzy, co przynoszą ulgę zbolałej duszy.

— Niech pani nie płacze, niech panienka nie płacze nie, to życie, smutne ale życie, przepraszam za moje brutalne postępowanie, ale to zwykle tak, pani musi być z innej sfery niż kobiety, które tu przychodzą?

A ona prosi.

— Niech pan się o nic nie pyta, bo mnie ogromny wstyd.

— Dobrze, dobrze, pani potrzebuje pieniędzy i to panią skłoniło. ...

— Ja, potrzebuję pracy.

I znów w ten pokój przyćmiony padł wyraz prosty, zwykły, codzienny, szary jak chleb powszedni i konieczny do życia.

Wyraz „praca“.

I słowo to jakby wyszlachetniło myśli tych dwojga. Jej twarz zajaśniała pogodą jakąś, a on spoważniał. Rozszarpane ich myśli, nerwowo rozbiegłe, skupiły się w tem pojęciu ogólno ludzkiego trudu i bytowania.

— Więc pani chce pracy? — mówił. — Czy pani ma jakie fachowe wykształcenie?

— Mam patent nauczycielki.

— Czemu pani z niego nie korzysta?

— Nie mogę.

— Dla czego?

A ona zaczyna mówić. Jak perły łez, jak korale krwi nizała gorycze i zawody i krzywdy życia swego. Mężczyzna opuścił głowę i słuchał. Nie znał takiego życia. Chłopiec zamożny przyjeżdżał ze wsi do miasta pozałatwiać interesy lub bawić się trochę, brał dziewczęta nie zastanawiając się nad poważną ich stroną. Zwykle były uśmiechnięte,

ubierały się w te uśmiechy jak w przybrudzone jedwabne halki, bez których na codzień chodziły. Chciały kokietować szelestem jedwabiu i podnieść cenę wykwintem toalety. Brał je, płacił, odchodził, po czasie wracał i szukał nowych. „Maman“ Malinosia zawsze miała na składzie coś nowego, aż oto zetknął się z Lunią, spojrzał w jej życie i żal mu się zrobiło dziewczęcia. Cóż robić miał, jednak jak pomóc? Kobiet szukających zarobku tak wiele, więc jak? pieniężnie, chwilową ulgą, a co dalej? znowu, za jakiś czas wizyta u takiej „maman“ Malinosi lub jeszcze gorzej. I żal mu, bo już nie widzi w niej istoty sprowadzonej tu na targ haniebny, ale prawdziwą niedolę, na dnie której więcej jest cierpienia niż grzechu.

— Chciałbym dla pani coś zrobić.

Ona milczy.

— Przedewszystkiem czy pani winna co Malinowskiej?

— Tak, dziesięć rubli, dała mi na opłacenie mieszkania.

— Kiedy?

— Dziś rano.

— Dawno ją pani zna?

— Od wczoraj. — Opowiedziała spotkanie.

— Ja za panią tu zapłacę, powtóre trzeba się wynieść z chambre garni bo wstyd tam mieszkać, ma najgorszą opinję i da mi pani słowo, że nigdy już tu, ani do podobnego lokalu nie zajrzy.

Lunia pokraśniała ze wstydu i twarz zakryła dłońmi, a on ciągnął dalej:

— To przedewszystkiem, powtóre zostawię pani trochę pieniędzy i mój adres, gdzie mi pani o sobie napisze, jak się urządziła. Za tydzień znów będę w Warszawie, może coś wyszukamy.

— Jakże ja panu jestem wdzięczna.

Na wizytowym bilecie kreśli adres i nie pytając o jej nazwisko, delikatnie, już zupełnie inaczej niż przy początku znajomości, podaje żakiecik, wreszcie doskonale obznaj-

miony z rozkładem i zwyczajami mieszkania, do drzwi ją odprowadza, spuszcza zasuwy, żegna uprzejmym ukłonem i pozostaje sam. Przez chwilę czuje się jakby onieśmielony trochę przed samym sobą, powolnie wraca do równowagi i z całą swobodą obytego w świecie człowieka dzwoni. Wchodzi Malinosia w ukłonach uniżonych i aż niemieje na widok nieruszonego atłasu różowej kołdry.

— Co to, jakto?

— Ach nic, nic.

— Może nie podobała się panu dobrodziejowi, może inną?

— Nie o to idzie, nie, płacę, ile się należy?

— Za jedzenie, a za nią?

— I za nią też. Ile się należy? A potem radzę pani tą osobą się nie interesować.

— Źle zbudowana?

— Nie interesować się, bo mogą być nieprzyjemności.

— Z policją? Jezus Marja!

— Nie, ze mną.

I rzuciwszy paczkę banknotów wychodzi, żegnany zapewnieniem „maman“, że na przyszły raz postara się o „coś“ lepszego.

* * *

U ciężko rzeźbionej futryny wspaniałego pałacu hrabiego Rogera stanęła Lunia.

Bo wreszcie przyszła do jego domu, przyszła prosić o protekcję.

Tyle lat.

Hej, ile to lat!

Po długich dniach rozstania jakże to już dawno, jak strasznie dawno.

Stoi Lunia u ciężko rzeźbionej futryny wspaniałego pałacu i serce jej łomoce się w piersi, a nogi drżą ze wzruszenia jakby stofuntowe ciężary się przy nich wlekły.

Bo wreszcie przyszła do niego.

Zadzwoniła lękliwie, delikatnie i tuli się do drzwi bogato rzeźbionych, wreszcie służący otwiera.

— Czy mogę się widzieć z hrabią Rogerem? — pyta na pozór spokojnie.

— Zaraz się dowiem, a jak mam zameldować? — mówi trochę ironicznie obrzucając ją ciekawem wejrzeniem. Inne damy to on tu chętnie wprowadza, te inne które zajeżdżają powozem lub wchodzą dumnie spowite w jedwabie i drogocenne futra. Och, on dobry psycholog umie odróżniać kobiety od kobiet.

W tok jego myśli wpada jednak zdanie Luni:

— Proszę powiedzieć że interes osobisty.

Lokaj wyzywająco prostuje swoją układną postać.

— Po jałmużnę lub protekcję idzie się do pana administratora.

Na bladą twarz Luni rumieniec wystąpił.

— Proszę powiedzieć że interes osobisty — i tyle mocy jest i szlachetności w tym tonie, że służący idzie pozostawiając ją w poczekalni.

Za chwilę wrócił, przeprowadził ją jeszcze przez dwa pokoje wreszcie od drzwi gabinetu się cofnął i Lunia weszła.

Przy biurku siedział hrabia, podniósł głowę i obojętnie spytał.

— Czem pani służyć mogę?

Lecz nim usłyszał odpowiedź poznał ją, twarz mu pociemniała łuną rumieńca, zapanował jednak nad sobą, powstał z fotelu i z wyciągniętemi rękoma ku niej podążył, ale kobiecie trudniej było się zdobyć na obojętność, uczuła że traci spokój, że serce jak trwożny dzwon wali

jej w piersiach, więc prawie bezwiednie na stojący obok fotel przysiadła.

Zapanowało ciężkie milczenie.

I już nie pytał banalnie czem służyć jej może? nie pytał o nic.

Bo tyle lat jej nie widział. Tyle lat, zdarzeń tyle, wiele osób, faktów życiowych wreszcie najrozmaitszych flirtów i flircików przeszło mu przez życie. Ile ust całował, ile ust szeptało mu słowa miłosne, ilu kobietom sam rzucił modne zaklęcia nie zliczyłby nawet. I nawet nie chce, nie interesuje go czas przeszły, fakty już dokonane. Zupełnie tak, jak go nie zastanawia menu wczorajszego obiadu. Tylko że w tej kobiecie było coś odmiennego, coś bardzo niepowszedniego, coś na wspomnienie czego twarz mu purpurą płonie i niepokój w piersiach budzi.

— To pani?

— Tak, to ja.

I znów milczenie.

Nagle w sercu warem wezbranem budzi się ogromna chęć rozmowy, a jednak coś go krępuje, nie jest zdolny do pustego frazesu grzeczności, wobec tej właśnie kobiety, gdy jakimś nie bardzo pewnym siebie głosem powtarza:

— To pani.

— Tak, to ja. Przyszłam hrabiego prosić, a nie myślałam nigdy że do tego dojdzie, przyszłam hrabiego prosić.....

— O co?

— O protekcję.

— Protekcję, o co i do czego?

— Do teatru. Wiem jakie hrabia zajmuje stanowisko w Warszawie, więc może zechce mi dopomóc. Mnie bardzo, bardzo przykro że ja, że ja tu do pana... ale nie mając innej drogi...

— Czyż ja naprawdę co mogę, ale jeżeli tak, no to z przyjemnością. Dlaczego pani jednak rzuciła krakowską scenę?

— Pan nie wie?

Mężczyzna spuścił głowę.

— Pan nie wie? — powtórzyła.

Znów łuna purpury po twarzy mu przebiegła.

— Otóż, — ciągnęła dalej — przyszłam hrabiego prosić.

— Poco tytuły, proszę tak do mnie nie mówić.

— Przyszłam więc pana prosić.

— Ależ ja nie mam w tych sferach znajomości.

— W takim razie przepraszam, ostateczność mną powodowała, życie.

— Takie ciężkie?

— Ciężkie, bo nie chcę by było zbyt lekkie.

— Więc co zrobić mogę i w jaki sposób?

— Panu to chyba lepiej wiadome niż mnie głupiej dziewczynie, aktorce prowincjonalnej, której ideałem, choćby na najmniejszych warunkach, stała scena, a codzienną często niezaspokojoną potrzebą ciepły obiad i całe buciki.

— Więc pani w tak ciężkich warunkach?

Przybliżył się do niej, siadł obok i jakimś dobrym, serdecznym, dawno jej znanym gestem rękę ku niej wyciągnął, ona bezwiednie swoją mu podała i nagle te dwie dłonie wpiły się w siebie raptownie, gorąco, niwecząc jakby jednym tym gestem całą przeszłość rozłąki, żale, tęsknoty i gorycze.

W najskrytszym kącie serca hrabiego Rogera jakieś wspomnienie różowe wezbrało, mgłą zaszły źrenice, przysunął się blisko i nachyliwszy namiętnie szeptać począł:

— Lunia! Lunia!

A słowa te gorące padały na nią jak lawa, więc rozpłomienioną twarz dłońmi osłoniła, ale on dłonie te odjął i pocałunkami okrywać je począł.

— Lunia, Lunia ty śliczna moja dawna, złota, kochana, pamiętasz, pamiętasz, mów!

— Pamiętam — ledwie wykrztusić mogła.

Porwał ją w ramiona, usta do ust się wpiły, zatraciła wolę, chciała się jeszcze wyrwać z tych objęć zabójczo słodkich, chciała wyszarpnąć i straciła świadomość. Kiedy otworzyła oczy hrabia Roger klęczał przy otomanie na której leżała i pieściwie głaskał jej ręce.

— Dziękuję Ci — mówił — dziękuję. Ty słodka dobra dziewczyna, ty jedna coś mię kochała prawdziwie.

A u niej głównem uczuciem był wstyd szalony.

— Chryste Panie, co ja zrobiłam? — Chryste Panie!

I nagle jakimś bardzo zmienionym głosem rzekła:

— Już pójdę.

Zaczęła zbierać się, włosy rozrzucone poprawiać, szpilki rozsypane po poduszkach i po dywanie podnosić.

— Już pójdę — powtórzyła.

— Już?

— Tak — wykrztusiła, nie mogła mówić, głos rwał się w gardle.

Czuła że zrobiła się jej tu wielka krzywda, że to co spotkało ją nie powinno było nigdy nastąpić. Bo kiedyś, kiedyś było między nimi uczucie, miłość, miłość młodzieńcza, a teraz, teraz czemże była wobec niego? Chwilową zabawką, zaspokojeniem rozigranych zmysłów wywołanych wspomnieniem.

Żeby więc skrócić te przykre chwile ku drzwiom kierować się poczęła. Zabiegł jej drogę:

— Luniu, wszak myśmy kochali się niegdyś.

— Tak, niegdyś... wtedy uczucie pana było dla mnie świętością.

— Luniu, Luniu!

Zginęła mu w drzwiach poczekalni.

Hrabia Roger przez chwilę namyślał się co zrobić, wreszcie ku otomanie podszedł, skwapliwie przeszukał czy nie została gdzie jaka szpilka, guzik lub wstążka, wreszcie

zadzwonił na służącego i za chwilę pogwizdując modnego walca, jechał w aleje z rozkoszą wdychając atomy przymroźnego, a już wiosną wonnego powietrza.

Może zapomniał o Luni oddając się błogiemu uczuciu dobrze zasłużonego wypoczynku?

* * *

Ledwie Lunia dowlokła się do najbliższego przystanku tramwajowego.

— Do domu pojadę — pomyślała.

Otworzyła torebkę by wyjąć drobne i oniemiała.

Na spodzie leżał zwitek papierowych banknotów.

— Chryste Panie! — jęknęła, aż konduktor i bliżej siedzący pasażerowie na nią spojrzeli.

— Jezus! Jezus!

I wielkie gorące łzy po twarzy jej pociekły.

— Więc to tak?... zapłacił, zapłacił jak jakiej ostatniej.

Na pierwszym przystanku wysiadła i bezwolnie iść poczęła przed siebie. W pewnej chwili zatrzymała się namyślając co robić? co zrobić? Ktoś ją rubasznie potrącił, ktoś coś powiedział ale nie wiedziała co, więc zawróciła w drugą stronę gdzie mniej się snuło ludzi i szła już prędko zdecydowana szybko, że tam przed nią jest coś co czeka na nią, że tam jest jej przeznaczenie, rozwiązanie zagadki bytu ludzkiego, że tam, tam właśnie, przed nią... chciała przebiedz ulicę szybko by prędzej już być u nieznanego, prędzej, prędzej i nagle haos, trzask, huk jakiś niesamowity i Lunia leży na środku ulicy pod kołami ciężarowego automobilu. Kapelusz zsunął się z głowy, włosy wstrząśnieniem rozsypane, jasną zawieruchą w kałuży błota się topią.

* * *

Otworzyła oczy i bezprzytomnie spojrzała po białych ścianach, po łóżkach ustawionych szeregiem, wreszcie wytężyła myśl i gdzieś z dna, z samego dna mózgu zaczęła budzić się świadomość.

— Szpital — pomyślała — i równocześnie gdzieś z cienia pokoju wysunęła się postać zakonnicy i przed nią stanęła.

— Boli? — spytała.

Kiwnęłą głową.

— Noga?

— Tak noga.

— Może się pani mleka napije?

— Dziękuję, proszę. Łzy zaczęły płynąć jej z oczu.

— Siostro, droga Siostro!... łkanie przerwało mowę, nagle cała świadomość w niej odżyła.

— Proszę nie płakać, bo profesor będzie się gniewać, zwłaszcza że kazał po siebie posłać jak tylko pani się przebudzi. Idę po niego. A za kilka chwil przy łóżku Luni siedział profesor, niski o siwej głowie staruszek i pieszczotliwie głaskał jej rękę.

— Oj, smarkata, smarkata. Takie to młode, ładne a już od życia ucieka.

— Nie, nie, ja nie chciałam, o nie, proszę mi wierzyć, wypadek tylko, nie uważałam.

— Oj dziecko, dziecko, jestem już stary, a jednak zapewniam cię że życie dla każdego ma urok, bo widzisz mimo że nie jestem niedowiarkiem, my naprawdę nie wiemy co jest tam, po tamtej stronie życia, a tu, tu zawsze jakaś nadzieja w to jutro, które czasami i coś dobrego przyniesie. Ja naprzykład mam serdecznego przyjaciela dyrektorem teatru w Krakowie, chcesz, napiszę do niego i zostaniesz angażowana.

— Dziękuję — szepnęła, chciała go w rękę pocałować.

— Czem ja się odwdzięczę Profesorowi?

— Życiem, życiem czynu. Jesteś artystką, masz talent czy nie, nie wiem, ale ucz się, pracuj. Ile miłych chwil dać możesz innym i sobie. Zawsze odczuwać będziesz potęgę stanowiska własną zdobytego pracą.

Słuchała z uwagą. Ten człowiek mówił do niej prosto, zwyczajnie, nie silił się na frazesy, a to co mówił złotą prawdą przeświecało.

I zaczęły się przed nią otwierać horyzonty przyszłego życia. Zaczęła się budzić nadzieja w jutro i w sercu powstawało ogromne, wielkie, święte przeświadczenie że są na świecie jeszcze ludzie dobrzy, że trzeba żyć aby właśnie po chwilach zwątpień mieć takie cudne zmartwychwstanie zamarłej wiary i nadziei.

DROBNE UTWORY.

PIERROT.

Ile razy widzę purpurowe róże, tyle razy przypomina mi się cudowna bajka o Pierrocie.

. . . .

Księżycowa noc dysząca żarem lata.

Za złoconemi dzidami sztachet angielski park. Przepych bzów, złoty deszcz akacji, upojna woń jaśminów. Dyskretny blask żarówek elektrycznych, ukrytych w bajecznie kolorowe japońskie lampjony. Plusk fontanny o śnieżne ramiona marmurowej Venus. Przytłumione dźwięki orkiestry.

Bal kostjumowy.

Bajka cudownej letniej nocy.

. . . .

On w biały kostjum Pierrota przybrany, ogromne czarne pompony, wysoki stożkowaty kapelusz, czarne jak atramentu plamy oczy, twarz bez zarostu pudrem przypylona, szrama od szabli na policzku, usta wąskie zaciśnięte, gwałtownie namiętne. W ręku bukiet róż purpurowych.

Ona smukła w czarny kostjum Kolombiny spowita, rococo peruka, maseczka krótka aksamitna, a pod nią cudownie wykrojone usta mięsiste, purpurowe, żądne pocałunków i oczy błękitne o słodkiem spojrzeniu. W dłoniach małych, prawie dziecinnych o długich różowych migdałkach paznokietków wachlarz, a za gorsem na śnieżnem łonie krwawi się róża purpurowa i więdnie.

Upojna bajka cudownej letniej nocy.

. . . .

Tańczą walca.

On objął ją silnym żądnym uściskiem, bladą twarz ku niej pochylił i szepce:

— Kocham, kocham i nigdy nie zapomnę.

Ona tuli mu się miłośnie w ramiona porwana szałem i pięknem otoczenia, usta rozchylił uśmiech szczęścia.

Miłość poezją życia jest, a poezji życia nie zapomina się nigdy.

— Bądź moją, moją bądź na zawsze!

Pokazała mu rękę na której błyszczała obrączka.

A tony walca dźwięczą, dźwięczą, rwą, tęsknią i żarem szału w pary tańczące buchają.

. . . .

Zadrżała ziemia od pocisków armatnich, rozszalało się piekło wojny.

Na froncie walczy Pierrot, nie w jasny kostjum karnawałowy przybrany a w mundur oficera. Na piersi przywiędła czerwona róża a obok niej, obok niej musi zabłysnąć order zasługi. Przedziwnie czarne, jak atramentu plamy oczy błyszczą ogniem zapału, blada twarz, zaciśnięte namiętnie usta i...... nagle, niespodziewanie nagle, kula nieprzyjacielska w piersi.

Pierrot leży jak martwy na mchu, a z piersi krew płynie i kroplami, niby listkami purpurowej róży na ziemi się ściele.

. . . .

Zdaje mu się, że ktoś się nad nim pochyla i ma błękitne oczy....

To niebo.

Zdaje mu się, że ktoś się do niego uśmiecha miłośnie.....

To gwiazdy.

Zdaje mu się, że ktoś go delikatnie całuje....

To polny wietrzyk.

Zdaje mu się, że ktoś przy nim stoi w czarny Kolombiny kostjum spowity....

To smukła sosenka.

Zdaje mu się, że muzyka gra walca na sali balowej....
To świerszczyk skrzeczy.
A potem... potem... nic mu się już nie zdaje...

. . . .

Ktoś się rzeczywiście nad nim pochyla, delikatne dłonie kobiece, wypieszczone miękkie, jak kwiaty wonne, chłodzą mu głowę lodem, obwiązują bandaże na piersi, ktoś łka z cicha, potem na usta, na te blade, namiętnie zaciśnięte usta pocałunek kładzie, pocałunek drogi, słodki, delikatny niezapomniany nigdy, ale ranny nie wie czy to rzeczywistość czy marzenie, bo jest tak sennie osłabiony, że oczu otworzyć nie może, nie ma siły....

. . . .

— Purpurowe róże?
— Tak purpurowe róże.
— Od kogo?
— Nie wiadomo.
— A kto mię pielęgnował gdy byłem bezprzytomny?
— Jedna z sióstr.
— Gdzie ona?
— Odjechała.
— Nazwisko jej?
— Nie wiadomo.
— Nie wiadomo... — powtórzył.

. . . .

Księżycowa noc dysząca żarem lata.

Za złotemi dzidami sztachet angielski park. Przepych bzów, złoty deszcz akacji, upojna woń jaśminów. Dyskretny blask żarówek elektrycznych, ukrytych w bajecznie kolorowe japońskie lampjony. Plusk fontanny o śnieżne ramiona marmurowej Venus. Przytłumione dźwięki orkiestry.

Bal kostjumowy.

Bajka cudownej letniej nocy.

. . . .

Przy boku Pierrota młodziutka narzeczona.

Pierrot ma śliczne stanowisko, dorobił się sławy adwokackiej jest dyrektorem banku, prezesem wielu towarzystw i żyje nad wyraz logicznie.

Ktoś narzeczoną poprosił do tańca, więc stoi sam na boku i przygląda się wirującemu kołu, nagle na ramieniu czuje uścisk dłoni. Ogląda się.

Przed nim czarna sylwetka Kolombiny, w ręku pęk róż purpurowych.

— Pierrocie!

— Słucham.

— Chodźmy.

Podaje jej rękę.

— Chodźmy.

Idą w dal w ogród gdzie mniej jest wrzawy, mniej lamp i światła, wtedy kobieta mówi:

— Pamiętasz?

Coś jakby zmieszanie, coś jakby cień cienia radości.

— To ty?

— To ja.

— Ty, naprawdę ty?

— Ja.

— Czemuś odeszła wtedy?

— Musiałam.

— Niedałaś znaku życia.

— Pielęgnowałam cię gdy byłeś ranny.

— A więc to ty?

— Tak ja.

— Czemuś odeszła gdym wracał do przytomności?

Wyciągnęła rękę na której obrączka błyszczała.

— To odpowiedź.

Pochyliła się nagle ku niemu i prawie szeptem rzekła:

— Żenisz się?

— Tak.

— Kochasz ją?

— Kocham.

Nagle wybuchła.

— Nie, nie, nie, nie prawda, nie kochasz! Ty mię tylko kochałeś i mię kochać nie przestaniesz nigdy, choćbyś sto razy odbiegł odemnie, zawsze spragniona myśl twoja ku mnie podąży, tyś w gruncie rzeczy mój, szukać będziesz w swej żonie mnie, bom ja twojego życia piękny sen, jam twoja młodość i poezja. A teraz idź, idź do Twej narzeczonej. Żyj logicznie jak przystało na godnego obywatela, weź te róże, ja i one były twoją przeszłością.

Bardzo ładnym kobiecym gestem podała mu kwiaty.

— Poezji życia nie zapomina się nigdy — powtórzyła.

Nim się opamiętał zginęła mu w barwnym tłumie. Chciał ją jeszcze zobaczyć, o coś pytać, coś mówić, bo nagle szarpnął mu sercem szalony ból, ból ukryty gdzieś na dnie głęboko, właśnie za tą kobietą, za jej szalonemi ramionami, raz jeszcze pić słodycz ust, tych upojnych kwiatów, raz jeszcze obłąkanie żyć pełnią młodości, wrzącą krwią potęgi bujnego temperamentu z ideałami w duszy, z żarem w sercu. Raz jeszcze, raz jeszcze, choćby przez mgnienie, raz jeszcze!

— Poezji życia nie zapomina się nigdy!

Ironicznie sceptyczny uśmiech wykrzywił mu usta.

— Tout passe, tout casse, tout lasse — rzekł sam do siebie głucho.

Przy nim zadźwięczał śmiech, z za krzaków wonnego jaśminu, wybiegła młoda narzeczona, rękę pod ramię Pierrota wsunęła.

— Chodźmy na kolację, takam głodna.

Ujrzała przywiędłe kwiaty, wyszarpnęła je z ręki.

— Skąd masz te wstrętne czerwone róże, ty wiesz że ja lubię tylko konwalje i niezapominajki.

Rzuciła je z wstrętem gdzieś w szarzyznę dali.

Nie reagował, lecz jakimś dziwnie chłodnym wzrokiem spojrzał na nią i spokojnie ją pytał:

— Dziecko głodne, przepraszam.

Mówił uprzejmie ale ton był oschły, aż gąska naiwna to odczuła i przymilając się szczebioce:

— Chodźmy, chodźmy, pewnieś się przeziębił w tym brzydkim białym kostjumie. To takie nieefektowne. Ja cię lubię we fraku, to tak wygląda wspaniale, paradnie jak na weselu. Jesteś ogromnie blady, co, zimno ci?

— Nie, nie, to tylko tak nerwowe.

— Ach te nerwy, od tej nieszczęsnej wojny.

Poszli, w restauracyjnej sali gra muzyka jakieś węgierskie melodje, rwące, tęskne, namiętne. Woń potraw, woń perfum, woń kwiatów, woń ciał, duszno. Znaleźli miejsce, mama i papa już siedzą i dwie bezdzietne bogate ciocie i druga para narzeczonych, wszystko według reguły porządku i światowego kodeksu. Ale Pierrot smutny, myśli rwą mu się gdzieś daleko, chciałby, o, jak chciałby na chwilę, na pięć minut pozostać sam, sam pomyśleć trochę, pomarzyć, ale czuła rodzina i ciotki anioły-stróże rodziny przyprowadzają go do porządku.

— Pierrot co tobie, zapominasz o narzeczonej.

— Takam głodna — skarży się słodkim głosikiem gąska.

Więc się otrząsa z rwących myśli, na twarz uprzejmy uśmiech kładzie i nachylając się ku wybranej, spokojnie pyta:

— Co będzie dziecko jadło?

— Potrawkę z kurczątka.

— To dobre, bo to zdrowe i delikatne.

— Nie, nie, wolę smarzone.

— Dobrze, smarzone, a do kurczątka?

— Kompocik.

— A jaki?

— Z malinek.

— A potem co?
— Potem lody.
— Waniljowe?
— Nie, nie, malinowe.

. . . .

A na parkowej ścieżce leżą porzucone purpurowe róże i goście balowi je depcą... depcą... depcą....

. . . .

Poezji życia nie zapomina się nigdy!

. . . .

Ile razy widzę purpurowe róże, tyle razy przypomina mi się cudowna bajka o Pierrocie.

PAN PIOTR MOSZYŃSKIJ.

Pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski lubił się bawić. Mało po temu przedtem miał sposobności, gdyż do tej pory był dosyć nieznacznym urzędnikiem w miasteczku NN., i dopiero podczas wojny, przeniesiony do zdobytego kraju, otrzymał podwyżkę gaży i awans na zastępcę zastępcy sekretarza przy naczelniku powiatu.

Niegdyś pochodził z polskiej rodziny, lecz to było tak dawno, tak dawno, że już i sam prawie nie pamiętał, a jeśli kiedy o szarej godzinie nawiedziły go te wspomnienia, odpędzał je skwapliwie jak złe muchy, co brzękiem nieustannym przeszkadzają śnić człowiekowi.

Choć życie jego do snu trudno było porównać.

Przez ciężko pracującą matkę, z wielką biedą posyłany do szkoły, uczył się źle, za jakąś burdę wyrzucony, uciekł wreszcie z domu. Jak żył, jak się prowadził trudno określić, dosyć że oparł się o cyrkuł gdzie ostatecznie dla kaligraficznych talentów dostał miejsce piszczyka i to była główna podstawa karjery. Nauczył się języka, pojechał do Rosji i tam już pozostał w policyjnym urzędzie, starając się jaknajprędzej wynarodowić i dojść do stanowiska. I wreszcie to, do czego dążył, osiągnął. Z okazji wojny co prawda, gdy wielu urzędników powołano pod broń, on chorobliwie wątły, niezdolny do czynnej służby, wysłany został do Galicji.

Że lubił się bawić nie dziwota, młody był i nigdy przedtem nie używał życia, dopiero teraz zdobywszy prowizoryczne stanowisko i mając sympatję przełożonego,

którego w wielu czynnościach chętnie i bezinteresownie zastępował, zaczął używać.

Nuż jeździć po okolicy, po opuszczonych dworach, nuż urządzać bale i baliki dla towarzyszy biurowych, nuż wyszukiwać kobietki gdzie i które się dało. Jednem słowem nie było zajęcia któregoby się nie podjął aby zyskać uznanie i przyjaźń otoczenia.

A w okolicy był cudny pałac książęcy. Pan domu na wojnie, po drugiej stronie Karpat, pani już dawno umarła, rządcy rozbiegli się, gnani strachem wojennej zawieruchy, pozostał tylko stary kamerdyner, raczej długoletni przyjaciel niż sługa książęcego domu.

Pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski szybko zorjentował się w stosunkach okolicy, nuż słać posłańce a rozkazy do cudnego pałacu aby opalić go, a oświetlić gdyż panowie z miasteczka przyjadą się bawić.

Nie pomogło tłumaczenie starego sługi, że niema kucharza, że niema zastawy bo tę dawno rozkradziono, sreber bo wywiezione, panowie czynownicy rozkazali, więc trzeba.

Przyjechali w kilka par sani, przywieźli ze sobą i damy. Takie to tam i damy, że stary sługa oniemiał na ich widok. Od cebra i od gnoju, dziewki służebne niższego rzędu poprzebierane za panie. Ani to jeść nie umie, ani chodzić, ani przyzwoicie mówić, zato pić, kląć i krzyczeć bezustannie, zato kraść. Co błyszczy srebrem lub złotem to do kieszeni, co większe to na sanie.

A pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski promienieje.

Urządził ucztę co się nazywa. Jedzą, piją, tłuką szklanki o kryształ luster, aż wreszcie któryś dzban cudny, srebrem okowany w kąt rzuca. Rozbryzgły deszczem brylantów miazgi szkła, roztrzasły po podłodze iskry błyszczące, a srebrne ozdoby pogięte niedbale ktoś podniósł i siedzącej obok dziewoi podaje:

— Masz, to srebro.

A dziewoja, jakby od patelni wprost wzięta, przybrana w karakułowy płaszcz z cudnemi szenszilami, których wartości i piękna nawet nie rozumie, łaskawie pytać raczy:

— Prawdziwe „srebło?“

— Prawdziwe, angieł.

— No, teraz pohulajmy! — ktoś mówi.

A stary sługa prosi:

— Panie czynowniku, toż pan Polak, nie daj marnować dobra książęcego, nie daj marnować dobytku.

A pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski jak wściekły:

— Mołczi! ty staryj, jej Bogu ubju!

— Ubij mię panie, — odpowiada pokornie — umrę ale bronić będę do ostatka.

Więc zirytowany pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski krzyczy:

— Tu wszystko nasze, wszystko nasze, idź procz!

I bryzga żółcią nienawiści wokoło.

Hej, hej, żeby nie jego przeklęta nacja, onby może i samym sekretarzem naczelnika powiatu, a może i samym naczelnikiem powiatu został, a może i gubernatorem, a tak co? Piszczykiem, błaznem do rozweselania, dostawcą zabaw i dziewek, dobrze jeszcze że ma spryt i że to i owo zręcznie załatwi, że i kark ma giętki, więc jakoś się trzyma, ale Polaków popierać za nic, onby chciał zapomnieć że nim jest, właściwie że nim był. Jest gorliwszym od najgorliwszych.

— Hej, hej, panowie koledzy, hulajmy.

A stary sługa jeszcze raz skamle:

— Panie Polak, panie Polak....

— Mołczi skatina, mnie do was nic, u mnie dusza russka! Ja już taki.

Czyż twoja matka panie Piotrze Moszyńskij, czynowniku rosyjski zamiast mleka piołun w swem łonie miała, że cię tak straszną nienawiścią do swoich napoiła?

Jedna z dziewoi semickiej rasy kwiat, leniwa w ruchach, brudna, rozmamana nagle zarzuca krzyczącemu ręce na szyję i mówi:

— Ej Pieter, my jeszcze nie widziały inszych pokoi.

I pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski, za dotknięciem rąk tych ani pieszczonych, ani białych, ani nawet kształtnych, uspokaja się chwilowo.

Wstają od stołu i przechodzą dalej.

Z niektórych pokoi wieje pustka. Albo rozkradziono albo wywieziono meble potęgą zasady, siła przed prawem. Gdzie niegdzie resztki magnackiego dostatku. Tylko w sali portretowej nic nie ruszone. Uszanowano stare konterfekty pradziadów. Z zczerniałych ram patrzą w przestrzeń dawni rycerze w stalowe zbroje zakuci, to z wylotami kontuszy na ramionach, z rękoma wspartemi na jelcach mieczy lub karabeli, to w pudrowanych perukach z puchowemi żabotami panicze; praprababki jakieś dziwacznie przyodziane, w białych robronach lub cudnemi szlarkami dzierganych czepcach, z modlitewnikiem lub różańcem w sztywno złożonych dłoniach; to cudne kobietki z Napoleońskiej epoki, pieszczone kotki o krótkich stanach empiru z bezcennemi sznurami pereł na szyi, a nad tem wszystkiem wśród tego otoczenia, na środku głównej ściany Madonna Częstochowska, królowa polska, na starym ryngrafie, zawieszona na podłożu z karmazynowego proporca.

Od tego wszystkiego bije powaga jakaś i potęga. Aż pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski na chwilę stracił swadę i bezczelność, lecz się otrząsnął prędko i nagle wziąwszy się pod boki krzyczeć rubasznie począł:

— Hej, stariki, czemuż nie poszliście na wojnu? Wy z nami wojnu prowadzić chcieli, wot duraki!

I śmieje się, śmieje a za nim całe towarzystwo ryczy z zachwytu.

— Ej pohulaliby Pietier tak wiesieło, po naszemu! — powiada gołowąsik jakiś — strelajmy, ubijom ich wsiech, może byt' i ordien jaki popadiot!

— Brawo! brawo! hurra! ubijom ich wsiech!

Pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski odważny człowiek, pierwszy rewolwer wyciąga i nuż w starego hetmana.

Dziewoje krzyczą, piszczą, zatykają uszy, a tylko stary sługa łzy rękawem ociera, snać płacze.

Te portrety dla niego żyją, są świętością, zna ich legendy, wie gdzie który przysłużył się ojczyźnie, gdzie padł, wie, że ci tu wszyscy nie zeszli ze stanowiska nigdy.

— Paf.... — powiało kurzem z ściany. Kawał tynku opadł na ziemię a w piersi hetmana, co walczył pod Cecorą, strzępem wyrwanego płótna bezkrwawa rana się znaczy.

I pijana zgraja się bawi.

Strzelają wszyscy, najpierw do portretów mężczyzn, później do kobiet. Prababce czepek rozstrzelali, pięknej strojnisi z Napoleońskiej epoki policzyli kulami perły na łabędziej szyi, aż wreszcie pozostał cały tylko ryngraf z Częstochowską.

— Ojej, — powiada dziewoja semickiej rasy — jeszcze temu nikt nie trafił.

— Iwanycz strelaj ty!

— Nie brat, nie ja, ty Pieter strelaj, ty amfitrjon zabawy, tobie pierwszeństwo.

Na jedną chwilę jak błysk otrzeźwienia po pijanej twarzy wezwanego przeszedł, ale to była tylko chwila lotna, szybka jak mgnienie. Bo nagle w najgłębszej myśli pana Piotra Moszyńskiego, czynownika rosyjskiego uświadomiła się myśl, że gdzieś kiedyś, w dalekich obrazach przeszłości, jakieś małe dziecko u kolan matki zawieszone, mówiło pacierz przed taką Madonną, że miało czystą duszę i jakiś dom jasny, rodzinny choć biedny. Miało tradycje szlacheckie, klejnot herbowy i że tem dzieckiem był właśnie on, on sam, pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski. I że temu dziecku często kojące dłonie matka na niesfornej, konopiatej głowinie kładła, a słodkie słowa mówiły:

— Bądź dobrym.

Że czasem zwoje pergaminowe ze starej chyboczącej, mahoniowej komódki wyjmowała i pokazując chłopcu mówiła z dumą:

— Twoim przodkom, za miłość ojczyzny, uznanie.

Czasem znów gdy dziecko było słabe usta matczyne nuciły pieśń nad pieśniami — tej co jasnej broni Częstochowy, lub o tej co — jeszcze nie zginęła.

Lecz to było tak dawno, tak dawno, że doprawdy nie wie dziś snem to niejasnym czy jakąś bajką było?

I pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski stoi niezdecydowany, a towarzystwo nudzić się zaczyna, więc ktoś zniecierpliwiony złośliwie go otrzeźwił:

— Pieter boiszsia? wot polak!

Wyzwany drgnął. Potrząsnął głową jakby nurzące myśli odrzucał, zaśmiał się chrapliwie, dziko, wymierzył, strzelił i w ryngrafie na piersi Cudownej mała krwawa plama się zaznaczyła. To podłoże karmazynowego jedwabiu strzępem u otworu zawisło, jakby krwi kropla.

Szloch starego sługi rozdarł powietrze ale na to już nikt nie uważał.

— Wot mołodiec! — ktoś głośno nieszczerze krzyknął, ktoś nerwowo się zaśmiał. I ciągnęła się dalej orgja pijacka, do której opisania brak słów i ich potęgi.

A rano gdy ze zrujnowanego do reszty pałacu gości pijanych służba do sanek pakowała, pan Piotr Moszyńskij, czynownik rosyjski chciał się koniecznie na sznurze od portjery powiesić, ale go towarzysze uprosili i upilnowali.

Szkoda by było. by kwiat tak cudnej kultury i przyszłości, dla narodu do którego duszą należał zaginął.

Łowczyce 5. II. 15.

„SACHSE".

Nie lubił Polaków i nigdy nie przypuszczał, że może przyjść chwila, iż on własnemi piersiami zasłaniać będzie właśnie ten polski kraj przed nawałą moskiewską.

Nie lubił Polaków i nie przypuszczał nigdy, że może przyjść chwila, w której oddałby życie za jeden uśmiech na bladej twarzy kobiety Polki.

I nie przypuszczał nigdy, że życie jego będzie tak bardzo związane właśnie z tą nacją.

. . . .

W małej galicyjskiej mieścinie, opuszczonej przez ludność został umieszczony. Niedaleko wrzała walka, huczały armaty, furczały często aeroplany, ale w samem miasteczku, poza odległemi echami strzałów, było względnie spokojnie. Czasem brzęk ostróg zakłócił powietrze, czasem automobil szybko przeleciał, a czasem zaturkotała bryczka wioząca rannych.

Całe szczęście, że pracy było wiele i po męczących dniach sen wcześnie kleił powieki, ale gdy przyszła sroga jesienna szaruga, zaniosło śniegiem i wichurą, nieprzyjaciel okopał się i przycichł, to nuda była męcząca.

Młodzi ludzie wieczorami grywali w karty, ale on kart nie lubił. Kiedy niekiedy ktoś zasiadał do starego fortepianu w nędznej żydowskiej restauracji, ale że instrument był haniebnie rozstrojony, więc i do tego malała ochota.

Nie mogąc znieść takiej jednostajności, jednego dnia młody porucznik Hermann von Birke, postanowił wyjść na daleki spacer i obejrzeć całe miasteczko.

Błota było po uszy, ponuro, zimno, wiatr dął przeraźliwie, świstał, zanosił krupami, on włożywszy zgrabne, krótkie futerko, w wysokich nieprzemakalnych butach wyruszył na spacer, pogwizdując jakiegoś modnego, przedwojennego walca.

Szedł główną ulicą, pusto było naokół, wreszcie skręcił w bok, znowu szedł prosto i znowu w przecznicę i tak dalej, dalej jakimś zygzakiem, aż nareszcie na przedmieściu się znalazł, potem kawałek polem, wydmiskiem kawałek, po którem z rzadka kaczki się wałęsały, skręcił pod lasek i nagle wzrok jego przyciągnęły żelazne sztachety, za któremi duży porządnie utrzymany ogród się rozłożył. Poprzez koronkę gałęzi drzew i krzewów strzępiatych ujrzał dom, a raczej willę czy pałacyk o białych murach, z dużym balkonem, u którego złotemi barwami jesienne liście dzikiego wina się zwieszały i gdzie niegdzie jakby płomyk kraśniał przemarznięty, sztywny, czerwony kwiat pelargonji.

Dom ten nagle wykwitł tu, wśród tej szarzyzny błotnej, jak cudowne zjawisko. W tej brudnej, żydowskiej mieścinie nie spodziewał się znaleść zakątka europejskiego, a tu wszystko mówiło o dobrym smaku, nawet krzewy róż w słomiane chochoły przyodziane, nawet wysmukła nimfa stojąca przy fontannie, nawet błyszczące czystością klamki u drzwi i okien.

Nie rozumując wiele skierował się ku furtce, pchnął ją i wszedł do ogrodu.

Nie śmiał podejść do domu ale w ogród szedł, który zadziwił go swoją objętością, był raczej parkiem utrzymanym wzorowo. Przeszedł tak cały dookoła, zawrócił uż ku wyjściu gdy oto do uszu jego dobiegła muzyka.

Stanął i słuchać począł.

Czasem wiatr przygłuszał dźwięki, a czasem dźwięki głuszyły wichurę.

Tam w oświetlonym pokoju ktoś grał.

Muzykę lubił szalenie to też nieprzepartą siłą zbliżać się począł w jej kierunku, już, już był niedaleko gdy nagle gdzieś z za węgła obskoczyła go cała sfora psów z ogromnem ujadaniem; chcąc się bronić od zajadłej napaści wyciągnął szablę i jak Don Kichot machać nią począł na wszystkie strony, co do większej jeszcze pasji podbudziło zwierzęta, aż wreszcie jeden dopadł go gdzieś z tyłu i płaszcz mu rozdarł zębami. Na ten piekielny wrzask otworzyło się okno i ciemnowłosa kobieca główka wyjrzała, ale widok musiał być niezwykły, bo gama szczerego śmiechu zadźwięczała w przestrzeni a dopiero później wołanie:

— Budrys, Neron, Bury do nogi!

Z za węgła wysunął się ktoś mocno opatulony w kożuch i słomiane bambocze, z grubym batogiem w ręku i na gwizd jego, a raczej na szeroki a niezbyt zachęcający gest owej uzbrojonej ręki, psiarnia powtulawszy pod siebie ogony, cofać się za węgieł poczęła.

Główka w oknie znów chichotała srebrzyście, a pan porucznik Hermann von Birke stał mocno zmieszany i wąsa podkręcał niezgrabnie.

Nagle odzyskał równowagę i sam roześmiał się wesoło, potem rękę ku czołu przyłożywszy zasalutował w stronę okna, ale tam nie było już nikogo.

Spojrzał po sobie, u pasa wisiał strzęp oderwanej kieszeni i za podmuchem wiatru komicznie furczał, chciał go odszarpnąć ale darł jeszcze więcej; niezdecydowany więc co robić, nie chciał bowiem iść tak obdarty, ośmieszając się choćby przed towarzyszami lub żołnierzami patrolującymi miasteczko, gdy stanęła przed nim ta sama okutana kożuszkiem i bamboczami postać i z niskim ukłonem rzekła:

— Pani prosi pana oficera do domu, ta to się naprawi.

Poszedł więc. W miękko i artystycznie umeblowanym pokoju czekała go kobieta z za okna.

— Hermann von Birke — przedstawił się — porucznik dragonów.

— Dzida Łastowiecka — odrzekła. — Mój mąż też na wojnie ale na serbskim froncie.

— Przepraszam pana za moje psy, ale to i cała moja obrona na tem pustkowiu. Jak pan się tutaj dostał? — pytała ciekawie.

— O, najzwyczajniej w świecie, przez furtkę. Wyszedłem na spacer i zobaczyłem nagle sztachety parku i dom zupełnie inny jak wszystkie brudne, żydowskie domki w tej mieścinie i ciekawość mię tu zagnała. Potem pociągnęła mię muzyka nie mogłem się oprzeć pokusie aby jej nie posłuchać i oto rezultat. — Roześmiał się wesoło.

— Pan tak lubi muzykę?

— Przepadam za nią, to też często jeżdżę do Lipska w sezonie koncertów.

— A gdzie pan stale mieszka?

— Pod Dreznem.

— Zawsze?

— Tak, na wsi, mam tam posiadłość swoją i gospodaruję z siostrą.

Kobieta podeszła do dzwonka a za chwilę wniesiono herbatę.

I oto po raz pierwszy najniespodziewaniej w świecie znalazł się jako gość w polskim domu. Słyszał o tym narodzie wiele ale go nie znał. Kultura wyglądała z każdego kąta, cudowny fortepian, książki, obrazy, kwiaty, artystyczne drobiazgi i kobieta inteligentna, dobrze ubrana, dobrze uczesana, młoda i ładna.

— I pani się tak nie boi tu sama? — pytał.

— Cóż robić, muszę być na posterunku, pilnować tego kąta. Mąż na wojnie, dzieci nie mam, rodziny także, całym światem moje gospodarstwo. Ja ten dom kocham, ten szmat ziemi kocham, te artystyczne graciki uprzyjemniają mi życie, książki i kwiaty i moje psy wierne. Miałam wielką przyjaciółkę wierzchówkę ale mi ją zarekwirowano — dodała miękko.

— I pani się nie boi, blisko pole bitwy.

— Nie panie, jak przyjdą na mnie chwile trwogi, to siadam do fortepianu i gram tak długo aż wszystko słabe i trwożliwe ze mnie uleci.

Podeszła do instrumentu i uderzyła akord.

On wtedy mówił:

— Proszę co zagrać, proszę, tak stęskniony jestem muzyki, tak dawno jej nie słyszałem.

— Cóż moje granie w porównaniu do koncertów lipskich.

Ale on wciąż nalegał.

Więc siadła i z pod biegłych jej palców popłynął Grieg dźwiękami Peer Ginta.

Zasłuchał się. Nieraz w surmie bojowej pragnął muzyki, bo duszę miał bardzo na dźwięki wrażliwą, mimo logiczne niemieckie wychowanie proste, trzeźwe bez domieszki marzycielstwa. W sztywnych pruskich salonach popisywały się często młode panienki techniką, na koncertowych estradach grywali wirtuozi, ale w tak miękkim półtonie kobiecego wonnego buduaru, w jesienny przedwieczór, wojenną zawieruchę, zdala od centrum Europy, blisko okopów nieprzyjaciela, zasłuchany w przedziwną potęgę dźwięku, uczuł że w nim zaczyna się budzić jakiś nieznany mu dotąd sentyment.

A kobieta grała. Po Griegu chwila pauzy a potem Chopin.

Za oknem szalała wichura, biły krupy śnieżne o szklanne tafle okien, a w pokoju zanosiło wiosną, gorącemi słowami upojeń....

. . . .

Wyszedł oczarowany ale powracał codziennie.

Psy już nie napadały na „Sachsa“, bo tak go służba przezwała, a czas biegł, jeden miesiąc i drugi, aż jednego dnia, przy końcu grudnia o zwykłej porze go nie było, aż późno wieczorem, pod noc prawie, wpadł blady.

— Pani Dzido, musimy się cofnąć, linja strategiczna, oddajemy miasteczko nieprzyjacielowi. — Mówił gorączko-

wo. — Pani musi jechać, konie moje do dyspozycji, zaraż, na gwałt!

Ale kobieta stoi spokojna.

— Nie pojadę, tu zostaję.

— Szaleństwo!

— Na posterunku zostaję.

— Pojedziesz.

— Nie.

— Musisz!

— Nie.

Za ręce ją chwycił i błagać począł:

— Pani Dzido, pani Dzido!

Nagle szarpnął się gwałtownie.

— Jezus! jak ja się stąd oddalę bez pani, jak?

Chwycił ją za ramiona i nim się opamiętać mogła usta jej swemi ustami zagarnął.

Ona mu się w ramionach słania.

— Ty, ty ukochana, ty polka! — mówi gwałtownie i do nóg jej runął oszalały miłością.....

Wrócił do domu nad ranem jak nieprzytomny. Jak nieprzytomny dosiadł konia do wymarszu, w głowie miał chaos jakiegoś przeogromnego szczęścia, we krwi żar pocałunków, w sercu szalony ból rozstania.

— Co tobie? — pytali koledzy.

— Nic mi — odpowiadał krótko.

— Żałujesz tej brudnej żydowskiej mieściny?

A jemu szalony żal właśnie żarł serce za tą brudną żydowską mieściną.

— Wrócimy przecież, nie damy wrogowi, strategiczny manewr — powtarzał uparcie w duszy i płakać mu się poprostu chciało.

Bezwolnie jechał blady, zamknięty w sobie.

— Może chory, — myśleli — może przeziębił się na tem bagnisku galicyjskiem.

* * *

„Hermann, ty musisz się ożenić — pisała siostra. — Jest nas tylko dwoje, ja jestem chora, niedługo może umrę, a chciałabym Cię widzieć ustatkowanym. Przecież głupi, krótkotrwały romans (o którym wspominałeś mi przy widzeniu) romans z przed roku, do tego z polką, mam nadzieję, wywietrzał ci z głowy. Nikt z naszej rodziny nigdy nie odstąpił od zasad, żenili się zawsze ze swoimi. Nie przeczę, że polki są ładne i eleganckie, ale w zasadzie bez moralności, co sam stwierdzić mogłeś na tej tam, o której nie chcę pisać. Hermann, Ty musisz się ożenić, tak jak ja pragnę, cały majątek mój przejdzie na dzieci Twoje, gdyż ja jako stara panna.....“ etc. etc.

List wypadł mu z rąk na ziemię.

— Ożenić, ja muszę się ożenić — powtarzał głośno. Widział czczość słów i konieczność musu. Gdy siostra co postanowi, on musi zawsze wykonać. Bo właściwie ona ma charakter dziwnie męski, energiczny, on zaś uległy jej we wszystkiem, tylko, tylko co robić? jak się z Dzidą rozmówić? Ona tam ciągle pod rosyjskim zaborem i właśnie tego kawałka ziemi nie mogą nieprzyjacielowi odebrać, a listy przez neutralne państwa wysłane idą tak strasznie wolno i tak rzadko dochodzą.

Wyjął z kieszeni pugilares a z niego list drugi. To był list od niej.

„Hermann — pisała Dzida — czekam z utęsknieniem końca wojny i czekam Ciebie z utęsknieniem. Niedaleko grają armaty, wre walka, a ja pracuję ciągle koło mego zakątka aby był piękny gdy powrócisz. Ty musisz pokochać mój kraj, on biedny ale piękny, ludzie w nim także dobrzy i rycerskie posiadają dusze, tylkoś Ty mało o nich prawdy słyszał. Jak pokochałeś Chopina tak i urok cudownej mej ziemi zrozumiesz i pokochasz. A czeka Cię jeszcze niespodzianka.... ale to tylko przy zobaczeniu.“

— Co takiego? — myślał i myślał ale nie mógł odgadnąć.

Jej kraj, prawda że znów nie taki brzydki, ten jej kraj i wcale nie barbarzyński, ludzie może trochę inni jak jego rodacy, może mniej silni fizycznie ale bezsprzecznie o wysokiej kulturze.

List siostry rozdrażnił go trochę, zwierzył jej się podczas urlopu, ale żeby mu ciągle zaprzątała innym ożenkiem głowę, tego sobie nie życzył.

Kochał Dzidę jakiemś uczuciem bałwochwalczem, poprostu, nie zdawał sobie sprawy, skąd mu się to w duszy i sercu wzięło. Miał romansów dosyć z różnemi kobietami. I wesołe panienki i mężatki z towarzystwa, ale zawsze oddalenie rozwiązywało spójnię dosyć szybko. Nie umiał się roztkliwiać, był na to za logiczny. Sentyment dopóki osoba blisko, razem z zapakowaniem podróżnego nesesera ulatniało się uczucie i szedł przed siebie wolny, wesoły, dobrze odżywiany, logiczny syn ojczyzny.

Był zły na siostrę, a że nie lubił nic odkładać, siadł i odpisał zaraz, że o małżeństwie narazie nie myśli, że jest na pozycji dosyć bezpiecznej od strzałów nieprzyjaciela, że urlop dostanie znacznie później...

* *
*

„Galicyjskie błota“ jak mówiła z przekąsem siostra, zrobiły swoje, dostał silnego reumatyzmu i musiał wrócić na jakiś czas do domu. A po dwóch latach wojny postać Dzidy zbłękitniała trochę i Hermann już nie irytował się gdy siostra powtarzała jedną i tę samą ciągle zwrotkę:

— Ożeń się.

I ożenił się.

Wysoka tęga, o dużych kościstych rękach, o dużych kościstych nogach Liza uszczęśliwiła porucznika von Birke. Tyle i tyle posagu, rodowód bez domieszki krwi obcej. Siostra promienieje radośnie, dopięła celu, może umierać spokojnie, a właściwie żyć teraz spokojnie. Ile to ją zachodu kosztowało, a jednak, jednak dokonała swego.

Hermann siedzi przy fortepianie i gra, siostra jakieś

gałganki zeszywa, a młoda pani ceruje pończochy. Cały stos już przed nią ułożony starannie.

Nagle poniosło gdzieś światami wichurą, ugięły się czubki drzew dostojne, pokłoniły, zachybotały na strony i przeszedł po nich deszcz, rozchlapanie jesienne. Kołysanka smutku zadudniła o szyby okien i wdzierać się poczęła w dusze ludzkie. Nie zmogły jej dźwięki muzyki tylko ona je zdawała się płoszyć. Zawyła wichura za oknem, zaszarpała blachą dachu, stuknęła okiennicami, a grający ręce z klawiszów odjął, bo mu ten jesienny huragan jakieś wspomnienie przed oczy podsunął, wspomnienie tak dalekie od stosu cerowanych pończoch, na których wzrok jego się zatrzymał.

— Wy niemcy nie macie poezji w duszy — mówiła mu niegdyś Dzida.

— My niemcy mamy zdrowy rozsądek — jej odpowiedział.

I dopiero teraz, w tej chwili właśnie, zrozumiał że miała słuszność. Dreszcz bolu ścisnął mu serce i nagle coś jakby żal, jakby tęsknota oderwała mu się z duszy i z tego sztywnego, ładem i porządkiem małżeńskim przepełnionego mieszkania i popłynęło w świat, kędy jesienią małe mieściny żydowskie jak duże błotne bagniska wyglądają, kędy białe kobiece dłonie w przedwieczornych godzinach estetyczniejsze zajęcia mają niż cerowanie pończoch lub wyszywanie czerwoną bawełną moralnych sentencyj na ścierkach. I rad był szczerze gdy tok smutnych myśli przerwał przyniesiony list, a w nim powołanie na pozycję.

* * *

W cudownie piękny poranek kwietniowy, wonny od kwiatów i złoty od słońca, na merańskiej promenadzie bawiły się dzieci.

Ogólną uwagę zwracał na siebie śliczny z czarną czuprynką i błękitnemi jak niebo oczyma chłopczyk, co wesoło podskakiwał puszczając w górę mały aeroplanik

z lotnikiem w okularach i przedziwnym kapturze. Gromadka dzieci zbliżyła się ku niemu podziwiać to cudo, ale on ku chłopcom kierował swoje grzeczności, omijając uparcie trzy dziewczątka, co nieśmiało słały ku niemu błagalne spojrzenia.

— Aduś, czemu nie bawisz się i z dziewczynkami? — pytała niania, czy bona, chłopczyka.

W odpowiedzi usteczka dziecka w podkówkę niezadowolenia się skrzywiły.

— No, czemu?

— A nie. — Odpowiedział po polsku.

— To niegrzecznie tak odpowiadać, powiedz dlaczego?

— Bo one prusaczki, a ja prusaków nie cierpię.

— Fe, Aduś, nie można tak mówić jeszcze kto usłyszy.

— Niech usłyszy.

— Mamusi byłoby przykro, że Aduś niegrzeczny. — Upominała nania.

— Ja jestem grzeczny, tylko ja prusackich dzieci nie lubię.

— Dlaczego? — zapytał nagle jakiś wysoki pan dosyć dobrą polszczyzną.

— Bo nie lubię — tłumaczyło się dziecko.

— Widzisz, widzisz, a nie mówiłam że jeszcze kto usłyszy. Oj Aduś, Aduś!

Chłopczyk stał onieśmielony trochę, zmarszczył buzię i oczy mu zagrały jakimś stalowym błyskiem niezadowolenia, błyskiem dziwnym przy cudnej, prawie anielskiej główce.

— No całe szczęście że mama idzie — ratowała sytuację bona.

I oto wysoki pan przez chwilę ciekawy wzrok wpija w twarz eleganckiej pani, która przed nim staje, jakiś bezwiedny ruch jakby chęci wyciągnięcia ramion ku przybyłej, opanowanie się silną wolą i ukłon głęboki.

— Pani Łastowiecka?

— Pan von Birke — podanie dłoni sztywne, eleganckie, na twarzy łuna zmieszania i ciężka chwila milczenia.

Kobieta elastyczniejsza zwykle w takich chwilach, łatwiej nagina się do okoliczności.

— To pana córeczki? słyszałam że się pan ożenił?

— Tak moje. A pani?

Chce jeszcze coś pytać, ale głos mu więźnie w gardle.

Kobieta nie podtrzymuje rozmowy, dziecko za rączkę bierze i do odejścia się zbiera.

— Aduś, ukłoń się panu.

Dziecko z grymasem odwraca główkę.

— Aduś, Aduś, — prosi matka.

Ale dziecko trwa w uporze, tylko spojrzenie błękitnych oczu utkwiło w twarzy wysokiego pana i te dwa spojrzenia są jednakowej barwy i mocy, tylko że dziecko powiek nie spuściło a wysoki pan zakrył je, jakby chciał zdławić pytanie co się nagle błyskawicą ciekawej myśli zbudziło:

— Mój syn?

. . . .

A tak pragnął mieć syna. Ile razy Liza zapowiadała mu słodką tajemnicę, tyle razy rwało mu się coś ze szczęścia w duszy.

— Syn będzie.

Ale zawsze córki. Trzy córki, /a ten dzielny, śliczny chłopiec miałżeby istotnie być jego?

Oczy, tak jego oczy.

Upór, tak jego upór.

Jego syn, jego syn!

Bije mu serce, wali krew w skroniach jak młotem.

— Jego syn?

* *
*

Na drugi dzień poszedł do niej z wizytą. Przyjęła go tak, jakby nigdy między nimi nic nie było. Chciał być

serdecznym, nie śmiał, mroziła go swoją etykietalną uprzejmością. Rwały mu się na usta słowa gorące wyznań i tłumaczeń pełne a nie śmiał, wreszcie zdobył się na siłę.

— Pani, ja muszę, muszę wiedzieć.

— Co? zapytała sztywno.

— Czy, czy to mój syn?

— Nie, syn jest mój.

— Na miłość Boga, powiedz pani, czy... czy?

— Tak.

. . . .

— Na drugi dzień po waszem odejściu przyszli rosjanie. Dwa lata byli bez przerwy. Dziecko już rok miało gdy wrócił mój mąż. Napisałam mu o wszystkiem obszernie, chciałam zabrać maleństwo i wrócić do rodziny, ale on nie dał, przyjął za swoje, kocha go a Aduś odpłaca mu również uczuciem głębokiem. Nie szukałam wykrętów, przyznałam się prosto, uczciwie. Dziś nie mam dla niego słów wdzięczności, na przebaczenie w tej formie może się tylko zdobyć człowiek wyższy. Po mojej śmierci chcę żeby wychował Adusia na wzór siebie. Po mojej śmierci — dodała ciszej. — Bo pan nie wie, pan nic nie wie?

— Nie wiem — wyszeptał.

— Pan nie wie, że ja jestem na śmierć skazana. A prawda, tak dawnośmy się nie widzieli.

— Tak dawno — powtórzył jak echo.

— Od tej pamiętnej nocy.

— Niezapomnianej nigdy.

A kobieta mówiła:

— W rok po zajęciu naszej okolicy przez wroga, dziecko już było na świecie. Aduś miał trzy miesiące wtedy, wpadła do mnie Justysia pokojówka i nuż opowiadać, że w Monastyrach niedalekiej wiosce pojmano patrol saski, postrzelano wielu żołnierzy i oficerów. Może pan sobie wyobrazi co się ze mną działo. Koni nie było, deszcz lał jak z cebra, jesienny wicher wył z całych sił, a ja nie bacząc na nic, płaszcz gumowy na siebie, wysokie buty od konnej jazdy

i ze starym Makarem, stróżem nocnym do Monastyr. Na-przełaj, przez zagony, przez rozorane pola, wydmiska, nocą w tę zawieruchę, wśród wojny. Jak szliśmy nie umiem panu powiedzieć, nie czułam zimna, wilgoci, nie czułam że chwilami tonęłam w błocie i roztopionej glinie po kolana, skrzydła rozpaczy mię niosły i czyniły lżejszą. Wreszcie po trzech czy czterech godzinach dotarliśmy do wioski, tam nas odrazu obskoczyli kozacy.

— Kuda?

Ale miałam dobrą odpowiedź, rosyjskie ruble, à potem kazałam się prowadzić do komendanta. Nie było go, przyjął mię jakiś piszczyk niższego rzędu bezgranicznie łaskawie i pytał czego chcę?

— Panie — mówiłam — tu jest oficer saski, ja muszę się z nim widzieć.

— Po czemu, co?

— To mój narzeczony — błagałam — wreszcie znów ruble ale już większa dawka i jakoś zmiękło serce wroga, bo mię zaraz wprowadzono do sąsiedniej izby gdzie na ziemi, na wiązce słomy leżał kolega pana, którego znałam z widzenia. Klęknęłam przy nim, był ciężko ranny, błagalnie pytałam:

— Gdzie von Birke?

— Na urlopie, żeni się — odpowiedział.

A we mnie coś się druzgotać poczęło, padać w nicość.

— Proszę do rodziców moich napisać o mnie — mówił — adres tu — chciał mi podać kartkę ale mu krew ustami buchnęła i omdlał. Musiałam odejść. Jaki był powrót dziś nie pamiętam, ja wogóle dalszego ciągu tej nocy nie mogę sobie przypomnieć. Później Makar mówił, że przesiedzieliśmy tam do rana, że musieliśmy się legitymować, że nas odstawiono do domu końmi, ulitowali się niedoli kobiecej wrogowie.... ale przeziębiłam się, dostałam zapalenia płuc, jakiś wysiąk później i rezultat suchoty.

Mężczyzna drgnął, wpatrzył się bystro w twarz kobiecą i znów oczy dłonią przysłonił.

Zaległo długie milczenie, wreszcie podniósł głowę i ze świadomą myślą ku niej podążył.

— Daj mi dziecko.

— Nie, nigdy!

— Daj mi mojego syna!

— Nie, on musi być polakiem, on musi mieć serce w piersi dla swoich!

Mężczyzna opuścił głowę i stał jak winowajca.

— Mego syna wychowa jego przybrany ojciec a mój mąż.

— A ja, a ja czem jestem, czem będę w jego życiu?

— Tylko panem von Birke.

Zrozumiał, że tego uporu nic nie przełamie.

Kobieta mówiła dalej.

— Pan nie znał i nie zna mnie i mych rodaczek. Polka może kochać do szaleństwa, do zapomnienia, do największego poświęcenia, ale gdy raz jej ambicja zostanie zadraśniętą, nie zapomina tego. My jesteśmy dumne, nie tą waszą prepotencją pychy, my jesteśmy przedewszytkiem dumne w narodowych uczuciach, a potem sercowych. Gdy jedno lub drugie zostanie zadraśnięte nie zapominamy tego nigdy.

Co miał powiedzieć?

Wiedział że zawinił i jak zawinił. Ten saksończyk w gruncie był uczciwym człowiekiem i dziś zrozumiał jasno jak wielki skarb uczuć posiadał i jak samochcąc od tego odszedł. Zrozumiał teraz, że życie z tą kobietą byłoby rajem, że ten śliczny malec byłby jego synem.

— Pani, ja chcę, ja muszę to dziecko zobaczyć jeszcze.

I tyle było w jego tonie serdecznej prośby, że kobieta nie opierając się do drzwi podeszła, uchyliła je i wołać poczęła:

— Aduś! Aduś!

Zadźwięczał z daleka głosik wesoły dziecięcy, zatupotały drobne nóżki i uśmiechnięta główka ukazała się w progu.

— Aduś przywitaj pana grzecznie — mówiła matka.

Chłopczyk stał onieśmielony, wtedy mężczyzna podszedł do niego, pogłaskał delikatnie po ciemnej czuprynce, jak drogocenny skarb jaki, wreszcie na ręce go podniósł.

— Pocałuj mię! — prosił.

— Nie.

— Dlaczego?

— Boś ty prusak.

— Aduś, — upominała matka — ten pan nie prusak tylko saksończyk.

— Sachse — podpowiedział mężczyzna.

— Sachse? — powtórzyło dziecko i czy kaprysem nieodgadnionym, czy nieomylnym instynktem wiedzione, nagle cudne usteczka ku wargom pana von Birke się zbliżyły, a drobne piąstki opasały szyję trzymającego i tylko błękitne jak niebo źrenice zaczęły się otwierać szeroko, szerzej, coraz szerzej ze zdziwienia, bo dziecko pojąć nie mogło, dlaczego z oczu dużego pana łzy płyną?

Bo Sachse trzymając w ramionach przytulone do siebie dziecko, płakał.

OKŁADKĘ ODBITO W DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO"
POD ZARZ. W. A. SKRZYCZYŃSKIEGO.